

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków, 1 maja 1909. Nr. 18.

Zwycięstwo Młodoturków.

(Treść na str. 2).



Zwycięstwo Młodoturków.

(Do illustracyi tytułowej).

Ciężka próba, jaką w ubiegłym tygodniu przeszła zwycięsko partya młodoturecka, pragnąca kraj swój wprowadzić na tory postępu i zapewnić mu dobrodziejstwa rządów konstytucyjnych, świadczy wymownie, że w gruncie rzeczy Turcya nie jest owym „chorym człowiekiem", którego zgon od tylu lat przepowiadano w Europie. Owszem pokazało się, że Turcya dzisiejsza posiada wszelkie zadatki na to, aby stać się kiedyś państwem kulturnem, choć, rzecz prosta, potrzeba na to wielu lat pracy wewnętrznej i to w takim właśnie kierunku, jaki sobie wytknęli Młodoturcy.

Energia, okazana przez nich przy zgnieceniu reakcyjnej rewolty z dnia 13 kwietnia wykazała, iż nietylko są świadomi celów do jakich dążą, ale także, iż mają wśród siebie ludzi o zdecydowanych przekonaniach. Niestety wkroczenie wojsk t. zw. salonickich, tj. tych, co pozostały wiernemi Młodoturkom, do Konstantynopola nie obyło się bez ofiar. Pewna część miejscowego garnizonu, uległszy podjudzaniom autorów kontrrewolucyi, stawiła zacięty opór wojskom wkraczającym, następnie wiele osób cywilnych padło ofiarą zbłąkanych kul karabinowych i odłamków pocisków działowych, a wreszcie wojska zwycięskie nie oszczędzały wszelkiego rodzaju podżegaczy, którzy pod ochroną swego charakteru duchownego, buntowali żołnierzy przeciw konstytucyi, zaprzysiężonej przez Abdul Hamida.

Nasza rycina tytułowa, sporządzona na podstawie szkicu, wykonanego na miejscu, przedstawia właśnie scenę doraźnego ukarania takich podżegaczy, schwytanych na gorącym uczynku namawiania żołnierzy do buntu i do wykroczeń przeciw chrześcijanom. Młodoturkom zależy obecnie na tem bardzo, aby nie dać mocarstwom powodu do interwencyi. Dlatego też tak surowo karzą oni indywidua, które wzywały do napaści na obcych i również z tego powodu nie strącili dotąd z tronu Abdul Hamida, choć mieliby do tego całkiem słuszne powody.

Na następnej rycinie oglądamy członków komitetu młodotureckiego w Salonice, któremu między innemi, udało się pod swymi sztandarami zgromadzić oprócz wojsk regularnych, znaczny zastęp ochotników albańskiej, bułgarskiej i serbskiej narodowości i to nietylko mahometan, ale nawet i chrześcijan.

Inne dwie ryciny odnoszą się do świeżo stoczonych walk w stolicy. Jedna z nich przedstawia oddział piechoty z kartaczownicą, ustawiony na moście, łączącym część miasta, zwaną Pera, ze Stambułem, druga zaś — wnętrze podwórza w ministeryum wojny, którego kraty wyłamali w dniu 13 b. m. zbuntowani żołnierze z batalionu strzelców, podobno przekupieni za grube pieniądze przez sułtana.



Zwycięstwo Młodoturków: Komitet młodoturecki w Salonice.

Zjazd balneologów polskich.

Polskie towarzystwo balneologiczne, założone w r. 1905 w Krakowie, święci w tym roku pięciolecie swego istnienia i znakomitej, owocnej działalności na polu obrony i popierania interesów polskiego, a w szczególności krajowego zdrojownictwa.

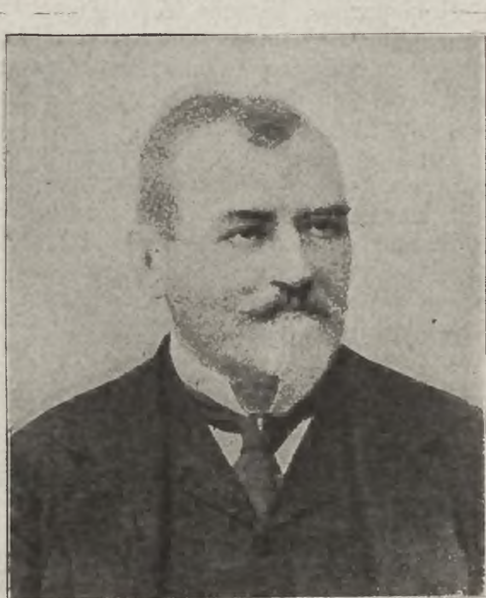
Jednym z objawów żywotności tow. balneologicznego był drugi zjazd balneologów polskich, urządzony z inicyatywy i staraniem wspomnianego właśnie towarzystwa. Zjazd ten odbył się w Krakowie w dniach 23 i 24 kwietnia, a poprzedziło go w dniu



Zjazd balneologów polskich: Wydział towarzystwa balneologicznego: (X) Jan hr. Potocki prezes. (XX) dr. Cercha wiceprezes. (XXX) dr. Zanietowski sekretarz. 1. dr. Żychoń. 2. dr. Flis. 3. dr. Wąsowicz. 4. dr. Pelczar. 5. dr. Regiec. 6. dr. Frączkiewicz. 7. sekretarz Rosner. 8. dr. Piotrowski.

22 kwietnia walne zgromadzenie członków towarzystwa, pod przewodnictwem prezesa hr. Jana Potockiego.

Głównymi momentami obrad walnego zgromadzenia towarzystwa balneologicznego było sprawozdanie wydziału, złożone przez sekretarza towarzystwa, dra Zanietowskiego, a dalej uchwały w spra-



Śmierć b. ministra Polaka: Śp. bar. A. Jorkasch-Koch.

wie utworzenia katedr balneologii na uniwersytetach w Krakowie i we Lwowie i w sprawie utworzenia przy wydziale krajowym krajowej komisyi zdrojowej.

Tego samego dnia odbyło się w salach hotelu Saskiego towarzyskie zebranie uczestników zjazdu, celem wzajemnego poznania się. Zebranie to przeciągnęło się do późnego wieczora na pogadance o żywotnych sprawach zdrojowych.

W piątek 23 kwietnia po mszy św. w kościele św. Mikołaja, zebrali się uczestnicy zjazdu w sali krakowskiego towarzystwa lekarskiego. Wśród obecnych byli przedstawiciele Uniwersytetu, Akademii Umiejętności, towarzystw lekarskich, oraz prasy — nietylko z Krakowa i Galicyi, ale z całej Polski.

Po zagajeniu obrad przez prezesa tow. balneologicznego hr. Jana Potockiego i po przemówieniach delegatów rozmaitych instytucyi, zasiedli na estradzie prezesi honorowi zjazdu: dr. Bandrowski z Warszawy, dr. Dłuski z Zakopanego i dr. Grabowski z Krynicy, dalej sekretarz towarzystwa balneologicznego dr. Zanietowski i sekretarze zjazdu dr. Szumowski i dr. Praschil.

Część naukową zjazdu wypełniły odczyty: dr. K. Dłuskiego, dr. Rozpędzichowskiego, dr Z. Wąsowicza, dr. Zanietowskiego, dr. Kupczyka, dr. Aronsohna, i dr. Turzańskiego, część zaś ekonomiczną odczyty dr. Regieca, dr. Kmietowicza, dr. Flisa, dr. Bandrowskiego i p. Z. Rosnera.

Zjazd otrzymał szereg telegramów i uchwalił kilka bardzo doniosłych wniosków i rezolucyi. Po zamknięciu obrad odbyło się zebranie towarzyskie w salach hotelu Saskiego, na którem wygłosili toasty: hr. Potocki, prof. dr. Dobrowolski, dr. Bandrowski, p. Rosner, dr. Zanietowski, dr. Żychoń i dr. Kmietowicz.

Zakończeniem zjazdu była wspólna wycieczka powozami i automobilami do Swoszowic, gdzie uczestników zjazdu powitał właściciel miejscowego zakładu zdrojowego swoszowickiego. Nęstępnie oprowadzał gości lekarz zdrojowy, sekretarz dr. Zanietowski, pokazując kolejno nowe urządzenia w łazienkach, swój gabinet elektroleczniczy, dalej park i domy mieszkalne.

Wycieczka zakończyła się śniadaniem, podczas



Zwycięstwo Młodoturków: Podwórze gmachu ministeryum wojny w Konstantynopolu, po rewolcie wojskowej.



Zjazd balneologów polskich: Członkowie zjazdu z prezydyum w pośrodku: (X) dr. Bandrowski, dr. Dłuski. (XXX) dr. Grabowski, 1. dr. Flis. 2. dr. Żychoń. 3 hr. Potocki. 4. dr. Wąsowicz, 5. dr. Prager, 6. dr. Cercha. 7. dr. Sowiński. 8. dr. Regiec. 9. dr. Pelczar. 10. dr. Zanietowski. 11. dr. Frączkiewicz. 12. sekretarz Rosner. 13. dr. Piotrowski. 14. dr. Lewicki.



Zwycięstwo Młodoturków: Oddział piechoty z kartaczownicą na moście między Perą a Stambułem.

którego ułożono serdeczną depeszę do lekarzy w Warszawie, Poznaniu i Lwowie.

Odsłonięcie pomnika śp. Michalskiego.

Pomnik ustawiony na mogile b. prezydenta miasta Lwowa ś. p. Michała Michalskiego, zmarłego nagle przed dwoma laty, odsłonięto uroczyście w niedzielę 25 kwietnia. Na cmentarz Łyczakowski, gdzie złożono zwłoki dzielnego mieszczanina na sen wieczny, zgromadziły się tłumy ludzi. Nie brakło najwyższych dygnitarzy wszystkich władz lwowskich, dostojników, reprezentantów Sokolstwa, uczestników ostatniej walki o niepodległość narodu, stowarzyszeń i cechów rękodzielniczych itd.

Hołd pamięci Michała Michalskiego oddał w gorącem przemówieniu wiceprezydent miasta dr. Tadeusz Rutowski, a Towarzystwo śpiewackie „Lutnia“ wykonało dwa utwory żałobne. Na zakończenie pochyliły się sztandary.

Dr. Rutowski w przemówieniu swojem zaznaczył, że odbiera pomnik w imieniu miasta i zapewnił, że miasto roztoczy nad nim szczerą opiekę.

Pomnik ś. p. Michalskiego tworzy podstawa z piaskowca, wyobrażająca ściętą piramidę, nad którą wznosi się cokół z biustem, odlanym w bronzie. Twórcą pomnika jest p. Tadeusz Błotnicki.

Śmierć b. ministra Polaka.

Ogólny i szczery żal wywołała w społeczeństwie polskiem wieść o zgonie b. ministra skarbu bar. A. Jorkascha-Kocha, który w ubiegłym tygodniu zakończył w Wiedniu swe pracowite życie.

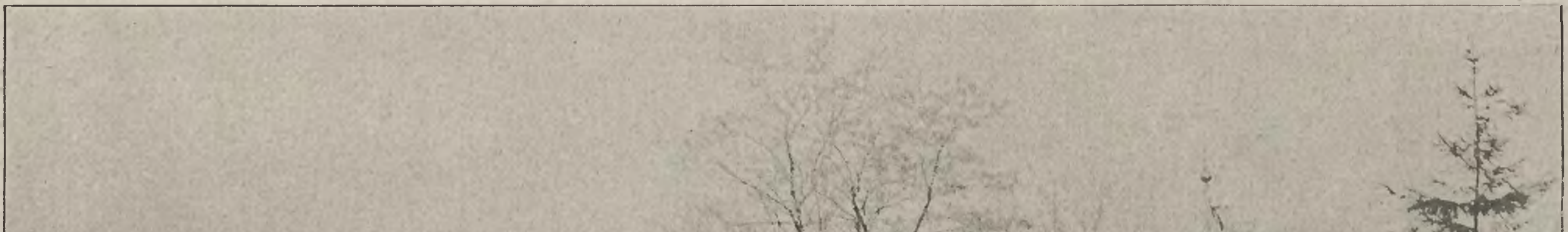
Ś. p. bar. Jorkasch-Koch pochodził wprawdzie z rodziny niemieckiej i niemieckie nosił nazwisko, ale sercem i duszą oddany był cały społeczeństwu i narodowi polskiemu oraz krajowi naszemu, z którym zżył się w czasie swej działalności urzędowej w krajowej dyrekcyi skarbu we Lwowie. Na stanowisku tem, zwłaszcza jako wiceprezydent dyrekcyi, odznaczył się bardzo zaszczytnie, a gospodarka finansowa w kraju zawdzięcza mu bardzo dużo. Cechowała go też zawsze wyrozumiałość i przywiązanie do kraju.

Powołany następnie do Wiednia do ministeryum, zachował tam tę samą życzliwość i troskę o interesy Galicyi, szedł też zawsze na rękę usiłowaniom polskich posłów w obronie interesów krajowych. Dowody tej życzliwości złożył także w czasie dwukrotnego urzędowania swego na stanowisku kierownika ministerstwa skarbu, ostatnio za prezydentury bar. Bienertha, a po ustąpieniu dra Korytowskiego.

Niedawno dopiero ustąpił zupełnie z areny życia publicznego, przechodząc w stan spoczynku, na który zresztą gorliwą i pełną poświęcenia pracą w całej pełni zasłużył.

Niestety nie długo cieszył się cichem i spokojnem życiem, gdyż ciężka choroba powaliła go na łoże boleści, z którego nie miał się już dźwignąć.

Zmarł zdala od ukochanego kraju, w Wiedniu i tam został przed paru dniami pochowany. W pogrzebie uczestniczyli wszyscy bawiący, tam posłowie polscy i prezes Koła polskiego dr. Głąbiński, wybitni dygnitarze państwowi z prezydentem gabinetu bar. Bienerthem na czele, dalej marszałek Galicyi St. hr. Badeni i przedstawiciele wielu instytucyi. Pokropienia zwłok dokonał ks. arcybiskup metropolita Szeptycki w asystencyi duchowieństwa, poczem przewieziono trumnę na cmentarz centralny.



Odsłonięcie pomnika śp. Michalskiego: Przemówienie wiceprezydenta dr. Rutowskiego (X) w czasie uroczystości.

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA

18 Ciąg dalszy.

— Czy istotnie tak się pani o nią troszczy?

— Tak: ja ją wychowałam; matka jej była tancerką, ojca nigdy nie znała, jest sierotą. Chciałabym ją nauczyć życia które sama poznałam. A pan markiz pozwoli mi powiedzieć, że źle czyni, lekceważąc mnie. Moja obecność tutaj świadczy o chęci porozumienia się. Bo czegoż może pragnąć Maud? Bogatego przyjaciela, któryby ją kochał i nią opiekował się!

— Właśnie ja chcę być tym przyjacielem i zapewnić jej przyszłość. Występy w teatrzykach nie są dla niej, tak pięknej, odpowiednie.

— Ach, to tylko obiecanki panie markizie.

— Odkąd to Morailles nie dotrzymuje słowa?

— Kodeks honorowy nie obowiązuje mężczyzn wobec kobiet.

— Widzę, że pani mnie nie zna — odpowiedział z dumą. — Inaczej wiedziałaby pani....

— Niech się pan markiz na mnie nie gniewa, a ja za to opowiem pewne zdarzenie ze swego życia.

— Słucham — odparł grzecznie.

— Był raz pewien magnat, którego imienia w tej chwili nie pamiętam. Znane ono jednak było powszechnie, należało do najstarszej szlachty. Magnat ten miał żonę, bardzo piękną, czystą i szlachetną, której jednak zdarzyło się raz, iż zdradziła swego męża....

Spojrzał bystro w oczy mistress Harden. Ona mówiła dalej.

— Zdradziła go, gdy bawił w podróży i zdradziła go tak, iż została z kochanki matką. Uważała, iż tajemnica jej jest dobrze strzeżona, nie wie działa tylko co ma uczynić z dzieckiem, które miało wkrótce narodzić się. W rozpaczy napisała list i wysłała depeszę do kochanka, który bawił daleko. Kobiety zawsze źle robią, pisząc. List ten i depesza wpadły w ręce osoby, pragnącej się zemścić na swej rywalce.... Zdaje mi się jednak, że pan markiz myśli o czem innem?... moje opowiadanie zapewne nudne jest?

— Ależ, proszę bardzo, interesuje mnie — starał się odpowiedzieć spokojnie, choć zimny pot wystąpił mu na czoło.

— Najlepszym sposobem zemsty było posłanie tych listów mężowi, ale osoba ta potrzebowała wówczas pieniędzy, zaproponowała więc mu sprzedaż tych papierów. Magnat ten, czy to obawiał się, by go nie oszukano, czy też żałował pieniędzy, dość, że nasłał na nią detektywa nazwiskiem... ach, zaraz, na końcu języka je mam... zresztą, mniejsza o to nazwisko, który zagrabił jej te dokumenty i przymusił do napisania wyznania, iż chciała urządzić tylko szantaż, a żadnego listu ani depeszy nie miała.

— Czyż możliwe! — zawołał markiz, stając się bladym.

— Och, przypomniało mi się to nazwisko, jest to Roggers, sławny detektyw amerykański, a jego pomocnik nazywał się Cockley.

— Skąd pani dowiedziała się o takich bajkach?

— Dlaczego nazywa pan to bajkami? — zapytała mistress Harden, patrząc mu bystro w oczy.— Opowiedziała mi je moja przyjaciółka, której się to zdarzyło!

— A więc ona kłamała, bezczelnie kłamała — zawołał z wściekłością, czując jak otwierają się w nim nanowo zagojone już rany.

Mistres Harden odpowiedziała:

— Pan ma krótką pamięć, panie markizie. Proszę przypatrzyć się mnie. To ja jestem tą przyjaciółką, to ja uprzedziłam pana o istnieniu tych papierów, ja je chciałam sprzedać i mnie wyrwał je pański ajent. Lecz ja nie zapominam, a gdy nadchodzi odpowiednia chwila, korzystam z niej i mszczę się.

Markiz aż cofnął się w tył, opierając się o fotel i patrząc na nią z szalonym gniewem zmieszanym ze zdumieniem. Wyszeptał:

— Czarna księżniczka!

— Wreszcie nazwał mnie pan po imieniu, a teraz czy słusznie, że nie dowierzam.

— Ja pani nic nie przyrzekłem, a zresztą nie wierzę w to.

— Jak pan chce.

— Nie, nie wierzę; pani po wypuszczeniu z więzienia zapewne zaczyna tę samą grę, którą przegrała poprzednio. Nie wierzę pani!

— Najgorszą rzeczą jest głuchota dla tego...

— Pani celem teraz jest sprzedać mi jak najdrożej Maud. Co panią z nią łączy? jaki wpływ pani na nią wywiera? Zresztą obojętnem mi jest rodzaj pani stręczycielstwa. Gotów jestem ułożyć się z panią co do Maud. Czego pani żąda dla siebie?

— Pięćdziesięciu tysięcy franków, które miałam otrzymać dawniej.

— Będzie je pani miała. A dla Maud?

— Zapewni jej pan kapitał trzysta tysięcy franków. Za tę cenę....

— Co?

— Za tę cenę...

— A pani weźmie pieniądze i zniknie razem z nią. Prawda?

— Myli się pan markiz. Ja ufam panu. Na drugi dzień podpisze dopiero markiz dla niej dotację.

Pan Morailles zgodził się na te warunki i od tego czasu posiada Maud, którą zdobył sobie wraz z przekonaniem o wiarołomstwie żony.

IV.

CZARNA KLACZ.

Pociąg zbliżał się do Fontainebleau.

Pani Seymour pozostała w Medyolanie, skąd miała wkrótce wyruszyć samochodem do Paryża. Na dworcu Lyońskim pożegnali się z panem Mitre, na którego czekała matka, staruszka już prawie niewidoma, prowadzona przez służącą, lecz zawsze trzymająca się prosto z miną do rozkazywania.

Państwo Le Chars pozostali na kilka dni w Paryżu, gdzie mieli do załatwienia wiele spraw. Maurycy mimo przyjemności i rozrywek w stolicy, pozostawał ciągle zamyślony, jakby przytłoczony tą tajemnicą, którą ukrywał przed żoną. Wreszcie pewnego wieczora, po powrocie z koncertu, nie mogąc sobie dać rady z męczącym go smutkiem, wyznał wszystko Joannie.

Patrzyła na niego z takim bólem w oczach, iż u nóg jej płakał jak dziecko. Wzruszona jego cierpieniem, pocieszała go:

— Nie martw się, pieniądze te należą do ciebie i jabym ci słowa jednego nie powiedziała, gdybyśmy nie mieli Jacka. Mnie zawsze z tobą dobrze, lecz musimy dbać o dziecko, które powierzył nam Robert i Aurora.

— Ach, to mnie do rozpaczy przyprowadza, że z mej winy on będzie uboższy, nie otrzyma tego, coby mu ojciec rodzony zabezpieczył.

— Tak, lecz wszystko jeszcze można naprawić. Ileś wszystkiego przegrał?

— Przeszło dwieście tysięcy franków.

Wobec tej wielkiej sumy z trudem tylko zdołała ukryć swe przerażenie.

— Trudno, będziemy oszczędzali, zmniejszymy swe wydatki, daj mi tylko słowo, że nie będziesz już więcej grał.

— Przebacz mi i ufaj już, twoja wiara we mnie da mi siły do pokonania tej namiętności.

Pocałunek, jaki złożyła na jego ustach, stwierdził jej dobroć i miłość dla niego. Na drugi dzień odwołała wszelkie zamówienia w magazynach, jakie poprzednio poczyniła i przyspieszyła wyjazd do zamku.

Gdy pociąg dojeżdżał do stacyi, odezwała się:

— Jak Aurora będzie szczęśliwa, widząc swe dziecko!

— Jestem pewny, że będzie czekała na dworcu — dodał mąż, nie powiedział jednak całej swej myśli: „oby tylko on jej nie towarzyszył“.

Po wyjściu z wagonu rozglądali się wokoło, szukając oczami pani Morailles, lecz ujrzeli tylko, jak zbliżał się do nich jakiś ksiądz i przedstawił się z elegancyą, uchylając kapelusza.

— Ojciec Remy.

Po wymianie ukłonów, dodał:

— Prosiła mnie markiza o wytłomaczenie, iż z powodu zepsucia się w ostatniej chwili landa, nie mogła przybyć na dworzec. Na państwa oczekuje wygodna wiktorya, po rzeczy zaś przybędzie zaraz wózek.

Z wielką uprzejmością poprowadził ich do pojazdu, gdzie stangret z trudem tylko utrzymywał zaprzężoną do wiktoryi czarną klacz, płoszącą się gwizdaniem lokomotywy.

— To dziwne — rzekł ojciec — że ta klacz tak nerwowa, jak mnie uprzedzał markiz, dowiozła mnie zupełnie spokojnie.

Rzucił okiem na stangreta, który nie bardzo pewnie trzymał się na nogach.

— Co to, Józefie, koń się płoszy?

— To nic, to nic, damy sobie radę — odparł jąkając się Józef, pokrzepiony w bufecie stacyjnym kilkoma kieliszkami absyntu.

Na twarzy Joanny malowała się obawa, lecz klacz wkrótce uspokoiła się i podróżni pożegnawszy się z ojcem Remy, ruszyli.

Ksiądz, oczekując na swój pociąg, pozostał zamyślonym. Uderzyło go dziwne podobieństwo syna państwa Le Chars do markizy: jakie może ich łączyć pokrewieństwo? pomyślał.

— Proszę księdza dobrodzieja, a nie stanie się im co złego z tą płochliwą klaczą?

Obrócił się zdziwiony tym troskliwem zapytaniem. Była to Ludwika oczekująca z rzeczami na wózek. Uśmiechnął się:

— O, nie, Józef dobrze powozi, dowiezie bezpiecznie.

Nie tego zdania był tragarz, który niezadowolony, że nie otrzymał za pomoc w trzymaniu konia, mruczał.

— Oho, znam ja tę klacz! Powiezie ona wszystkich na złamanie karku! Jest spokojna jak czart, gdy mu kto na ogon nastąpi!

Tymczasem pan Morailles zajęty ubieraniem się do obiadu, myślał o swych gościach. Przejażdżka z Maud Kiss i rozkoszny odpoczynek w myśliwskim domku, ukrytym w głębi lasu, który nie raz już był świadkiem jego namiętności do młodej kochanki, rozbudził w nim nienawiść do żony, która śmiała odpłacić się mu za jego niewiarę małżeńską. Od chwili, gdy po raz drugi dowiedział się o zdradzie pani Morailles, chęć zemsty rosła w nim ciągle, stawała się coraz potężniejszą. Zwlekał z nią, by natrafić na chwilę, kiedy zadany cios jego ręką, wstrząśnie wnętrznościami niewiernej żony. Lubował się tą myślą, jak będzie patrzył na jej ból, jak ją poprowadzi na kalwaryę, na której będzie wolno konała.

By chęć zemsty w nim nie osłabła, pobudzał ją w sobie tworzonemi w imaginacyi obrazami rozkoszy, jakich markiza doznawała w tym samym zamku w objęciach Roberta Le Chars. Na myśl tę wściekłość szalona ogarniała go, chciał zemsty okrutnej, piekielnej, a przedtem jeszcze wyrwać jej z ust wyznanie własnej winy. Zapraszając państwo Le Chars, miał ukrytą myśl: odkryć całą przeszłość, a potem dopiero działać, utorturować ją i jej wspólników.

Pani Morailles, która ukończyła swoją tualetę, liczyła chwile, oddzielające ją od przyjazdu drogich gości. Tak bardzo pragnęła wyjechać na ich spotkanie, lecz w ostatniej chwili pękł resor od landa, a samochód dopiero wieczorem miał nadejść z Paryża, gdzie był w reperacyi.

Tymczasem mrok już zupełny zapadł i nasi goście jechali po ciemku, niepewni drogi, jaką przebywali. Józef z trudnością tylko utrzymując nerwową klacz, nie ufał już sobie zupełnie i mruczał bezustannie, jakby tłomaczył się z niepopełnionych win:

— Dlaczego mi kazano zaprząd „Klorindę“ (imię klaczy), kiedy ona chodzi dobrze tylko w parze razem z „Plumcake“. Przecież pan markiz wiedział, że w stajni stoi spokojny jak baran „Bolero“... Z pewnością ona mnie znowu urządzi jak niedawno....

I niepewny swych ruchów od wypitego absyntu, chcąc wywrzeć swą złość na klaczy, która szła nie równo, ściągnął cugle i uderzył ją batem.

„Klorinda“, czuła w pysku i nie bardzo cierpliwa, skoczyła na prawo, na lewo, pociągnęła pyskiem, rozluźniła sobie munsztuk i popędziła naprzód.

— Nie tak prędko, wolniej! — zawołał Maurycy, obawiając się o żonę i dziecko.

Józef z wielkim wysiłkiem zdołał powstrzymać konia i stanął na chwilę, by zapalić latarnie. Była już zupełna noc. Zaledwie wsiadł z powrotem na kozioł, gdy klacz znowu poniosła.

— Wolniej! wolniej! — wołał Maurycy.

Lecz w tej chwili rozległ się głos trąbki i olbrzymi samochód z dwoma żarzącemi się ślepiami na przedzie, przesunął się koło nich. Przestraszona klacz pomknęła jak szalona. Naprożno Józef ściągał ze wszystkich sił lejce. Państwo Le Chars, trzymając między sobą Jacka, widzieli tylko, jak migają przed ich oczyma wielkie cienie drzew lasu, słupy telegraficzne, wreszcie odkryta płaszczyzna, w końcu której wielką plamą czernił się gmach zamku. Klacz czując bliskość stajni, wyciągnęła się i parła jak strzała naprzód. Wiktorya, w której siedzieli, nie toczyła się już, lecz skakała, podrywana przez rwący pęd „Klorindy“. Wszystko im znikło z oczu, jedna ciemna masa otaczała ich zewsząd. Nie czuli nic, naraz rozległ się trzask, wiktorya zawadziła kołem o ogrodzenie parku zamkowego i pomknęła naprzód na mury zamku, nie wstrzymana już przez nikogo, gdyż Józef został wyrzucony z siedzenia wprost pod koła pojazdu, który przeleciał po jego ciele. Groziła im niechybna śmierć rozbicia się o front zamku, do którego dążyli. Naraz, przywołany krzykiem Joanny, rzucił się do pyska klaczy jakiś mężczyzna i ciągnięty przez nią jeszcze z pięćdziesiąt metrów, zdołał ją zatrzymać.... Był to pan Morailles.

Ze wszystkich stron nadbiegli ludzie, którym markiz oddał konia, a sam pomagał wysiąść Joannie.

— Co za tragiczny wypadek — rzekł siląc się na spokój, choć sam był lekko kontuzyowany. — Czy przypadkiem co się pani nie stało?

— Nie, nie. A ty Jacek? A Maurycy?

Bardzo blady, pan Le Chars odpowiedział, starając się podnieść do góry rękę, co mu się jednak nie udało.

— Nie wiem, czy mam co złamanego; uderzyłem ramieniem o słup przy bramie.

Wyniesiono go z powozu i złożono na przenośnem krześle.

Nadbiegła przerażona pani Morailles. Rzuciła się naprzód w objęcia Joanny, potem z wielką czułością ucałowała Jacka, nie zwracając uwagi że mąż ją obserwuje.

W kilka chwil potem nadbiegł doktór Morane i udzielił pierwszej pomocy rannym, kiwając powątpiewająco głową nad leżącym bez czucia Józefie.

VII.

MURY SŁUCHAJĄ.

Było już późno. W sąsiednim pokoju Maurycy Le Chars z przewiązanem bandażami ramieniem i ręką zasnął wreszcie gorączkowym snem. Jacek już dawno spoczywał w swem łóżku. Tylko pani Morailles i Joanna nie zmrużyły jeszcze powiek. Spoglądając na siebie z czułością, poddając się radości z widzenia się po tak długiej rozłące, rozmawiały z sobą ożywione, lecz po cichu, jakby w obawie, by ich kto nie podsłuchał.

Pani Morailles do tego stopnia posunęła swą ostrożność, iż zajrzała do wszystkich kątów, otworzyła szafę, upewniła się, czy nie znajduje się kto za portyerami.

— Czego ty, Auroro, możesz się obawiać? — zapytała Joanna pod wrażeniem tych skrupulatnych oględzin.

— Wszystkiego! — odparła markiza tak poważnym tonem, iż Joanna wzięła ją za ręce i przycisnęła do siebie.

— Czy ty przypadkiem nie przesadzasz w swej bojaźni? Pojmuję to, że mogłaś się przestraszyć wypadkiem, jaki nam groził.

Mówiła to, by uspokoić swą przyjaciółkę, a sama jeszcze drżała od przebytych wstrząśnień. Co za straszny wypadek! Życie jej, Jacka zagrożone, a Maurycy, jedyny człowiek, który może stanąć w ich obronie leży ranny! Było czem przejąć się.

— Tak się cieszyłam z waszego przyjazdu, mimo możliwego tutaj niebezpieczeństwa — mówiła Aurora — i na początku samym groziła wam taka katastrofa! Jak się musiał przeląc biedny Jacek. A jak on wyrósł, jak wyładniał....

— Prawda? — rzekła z dumą Joanna. — Dobrze się chowa, a co najważniejsze, dobre ma serce, twoje, moja droga.

— Moje!... niech nie ma takiego, by nie cierpiał tyle, co ja.

— Spodziewam się, że chyba jesteś już spokojniejsza.

— Skąd może zejść do mnie spokój. Za sobą widzę bolesną przeszłość, przyszłość zaś ciemna i niepewna.

— Auroro droga, ciebie ciągle niepokój dręczy, uspokój się... chyba ci nic nie grozi.

— Ty nie wiesz, jak jestem wokoło otoczona szpiegami, śledzona na każdym kroku, jak każde słowo me jest podsłuchiwane, listy przejmowane.

— Lecz przecież od tego czasu, gdyśmy uznali Jacka za swego, markiz już chyba nie żywi żadnych podejrzeń.

— Nigdy o tem nie rozmawialiśmy z wyjątkiem tylko tego razu, gdy po upadku z konia, w przystępie udanej, czy też rzeczywistej gorączki, poddał mnie inkwizycyi prawdziwej.

— Czy możesz przypuszczać, by taki człowiek jak markiz chował w sobie przez dziesięć lat ten sekret i nie rzucił ci zniewagi w oczy?

— Tak mówi zdrowy rozsądek, lecz instynkt przestrzega przed czem innem. Mój kobiecy instynkt nigdy mnie nie myli. Wierz mi, że mąż wszysko wie.

— Dlaczego więc milczy?

— Dlaczego?... to jego wyrachowanie; czuję, iż chce się zemścić jak najokrutniej i czeka na odpowiednią chwilę. Bałam się, by ona teraz nie nadeszła i drżałam, gdy mi oznajmił, iż zaprosił was do Roche-Forte.

— Drżałaś?... — zapytała Joanna zaniepokojona, nie chcąc jednak okazać tego.

— Do tego stopnia, iż napisałam do ciebie, byście nie przyjmowali zaproszenia.

— Pisałaś to, ty?

— Tak, napisałam.

— Kiedy?

— Natychmiast po liście markiza do Maurycego.

— Nie otrzymałam wcale tego listu.

— Spodziewałam się tego.... list ten został przejęty w drodze. Widzisz nie myliłam się, gdym ci rzekła, że jestem śledzona, szpiegowana, że wszystkiego możemy się obawiać.

— Czegóż my możemy się lękać? Nie jesteśmy w średnich wiekach, gdy bezkarnie mordowano i porywano ludzi.



— To dziwne — rzekła markiza — jak ona jest niespokojna.

— Żartujesz, Joanno, a w istocie jesteśmy w paszczy wilka. Ja jestem bezsilna jak i ty, Jacek — dziecko, a Maurycy leży w gorączce. Och, markiz dobrze wszystko przygotował.

Joanna zadrżała... Co za myśl!... Nie, nie mogła uwierzyć w taki podstęp.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— To zupełnie jasne... Wiedział, że chciałam jechać na wasze spotkanie, dlatego też lando zepsuło się właśnie podczas zaprzęgania, a samochód został wysłany do reperacyi....

Nagle Aurora zwróciła się do drzwi i szepnęła:

— Ktoś nas podsłuchuje! — Słychać było kroki na korytarzu.

— Nic nie słyszałam — odparła Joanna, blednąc mimo swej odwagi.

— Twoje zmysły nie są tak wyczulone jak moje, nie potrzebowałaś czuwać nocami. Sza! Słuchaj teraz...

— Rzeczywiście, zdaje mi się...

Markiza powstała z błyskiem gniewu w oczach.

— Co ty czynisz? — zapytała Joanna, widząc, iż dostała ze stolika krótki ostry sztylet.

— Idę się przekonać... Weź lampę...

Bez szelestu otworzyła drzwi, wychodzące na korytarz. Słychać było jakiś szmer.

— Ach! — wyrwało się z piersi markizie.

Była to tylko wielka psica Myrra, przywiązana do Aurory, dog zaś Athos był ulubionym psem markiza. Zazwyczaj oba psy patrolowały nocą koło zamku.

— To dziwne — rzekła markiza — jak ona jest niespokojna. Widzisz, jak strzyże uszami i patrzy na schody. Strzeż nas Myrro, będziesz nas broniła.

Myrra podniosła się na tylnych łapach, przednie opierając na ramionach Aurory.

— Tak, Myrro, będziesz czuwała koło moich drzwi, na przyszłość zawsze spać będziesz koło mnie. Ona nikogo nie dopuści do mnie. Gdy pewnego razu przestraszył mnie w parku jakiś włóczęga, skoczyła mu do szyi. To ciekawe, że nie bardzo jest łaskawa dla markiza... To jedyne stworzenie w zamku, które mnie lubi.

Schowała sztylet do stolika i spojrzała na zegar.

— Ach, jak już późno, Joanno, a ja ci nie daję spać. Już druga godzina. Pozwól tylko, że popatrzę jeszcze na Jacka.

Cicho otworzyły drzwi do buduaru, który oddzielał jej apartamenta od pokojów przeznaczonych dla państwa Le Chars i zbliżyły się do śpiącego Jacka.

Nie czuły w chwili tej, iż ktoś czuwa jeszcze w zamku i śledzi przez ciemne okna światło dobywające się przez załuzye z ich pokoju.

Był to pan Morailles. Na ustach miał szyderczy uśmiech. Radował się, że ofiary wpadają mu same w ręce. Markiza też zdradziła się, cofając Jacka z uciechy, iż nie odniósł najmniejszego szwanku w tym wypadku. Oczekiwał niecierpliwie nadejścia dnia i podania śniadania, bo potem dowie się wszystkiego... Cierpliwości! a zemsta będzie tem straszniejsza, zedrze z Aurory tę maskę cnoty!...

Myśl jego od żony, zwróciła się znowu do kochanki, którą z domku myśliwskiego, gdzie spędzili kilka godzin na uciechach, odwiózł do Fougeraie. Tam czekała go niezbyt miła niespodzianka: powitała ich mistress Harden.

Ubrana w szary kostyum podróżny, uwydatniający jej zgrabne kształty, wyciągnęła na przywitanie rękę do markiza i korzystając z chwili, gdy Maud poszła się przebrać, rzekła:

— *Good evening!* Pan zna to przysłowie: „Gdy dobrze skrajano, trzeba zacząć szyć!“

— Mówi pani, mistress Harden, zbyt tajemniczo.

— Chyba że nie! Pan mnie rozumie.

— Daję słowo!

— Pan zapewne nie z sympatyi sprowadził do siebie państwa Le Chars i ich pociechę. Nie żąda pan, bym w to uwierzyła.

— Cóż więc pani z tego wnosi?

— Że pan ma jakiś tajemniczy plan, którego doniosłość odgaduję, choć nie znam jeszcze środków do jego wykonania. Przybyłam tu, by ułatwić całe zadanie markizowi.

— Niech pani z łaski swej wytłomaczy mi to jaśniej — odparł z ironią pan Morailles — gdyż chciałbym poznać pani myśli dokładnie.

— Dobrze, będę zwięzła: jeżeli pan chce, to może zrujnować Maurycego Le Chars, a to coś więcej warte, niż wywichnięcie mu ramienia.

— Ach, to pani już wie o wypadku?

— I to i wiele innych rzeczy, o których pan nie słyszał.

— Naprzykład?

— Le Chars gra namiętnie i w Wenecyi przegrał wielkie sumy, majątek jego jest bardzo naruszony. Można go zrujnować.

— W jaki sposób?

— Niech pan pomyśli!

Pan Morailles podkręcił wąsa zadumany.

Mistress Harden mówiła dalej.

— Jest to natura słaba, nerwowa, poddająca się wrażeniu chwili. Namiętne palenie opium i klimat kolonij wywarły na nim swój wpływ. Zrujnowany materyalnie, nie będzie miał sił do życia. Oto i cała rodzina pod wodą na dnie!

— Zrujnowany!... — powtórzył markiz z błyskiem w oczach. — Tylko kobieta może mieć podobne myśli!

(Ciąg dalszy nastąpi).

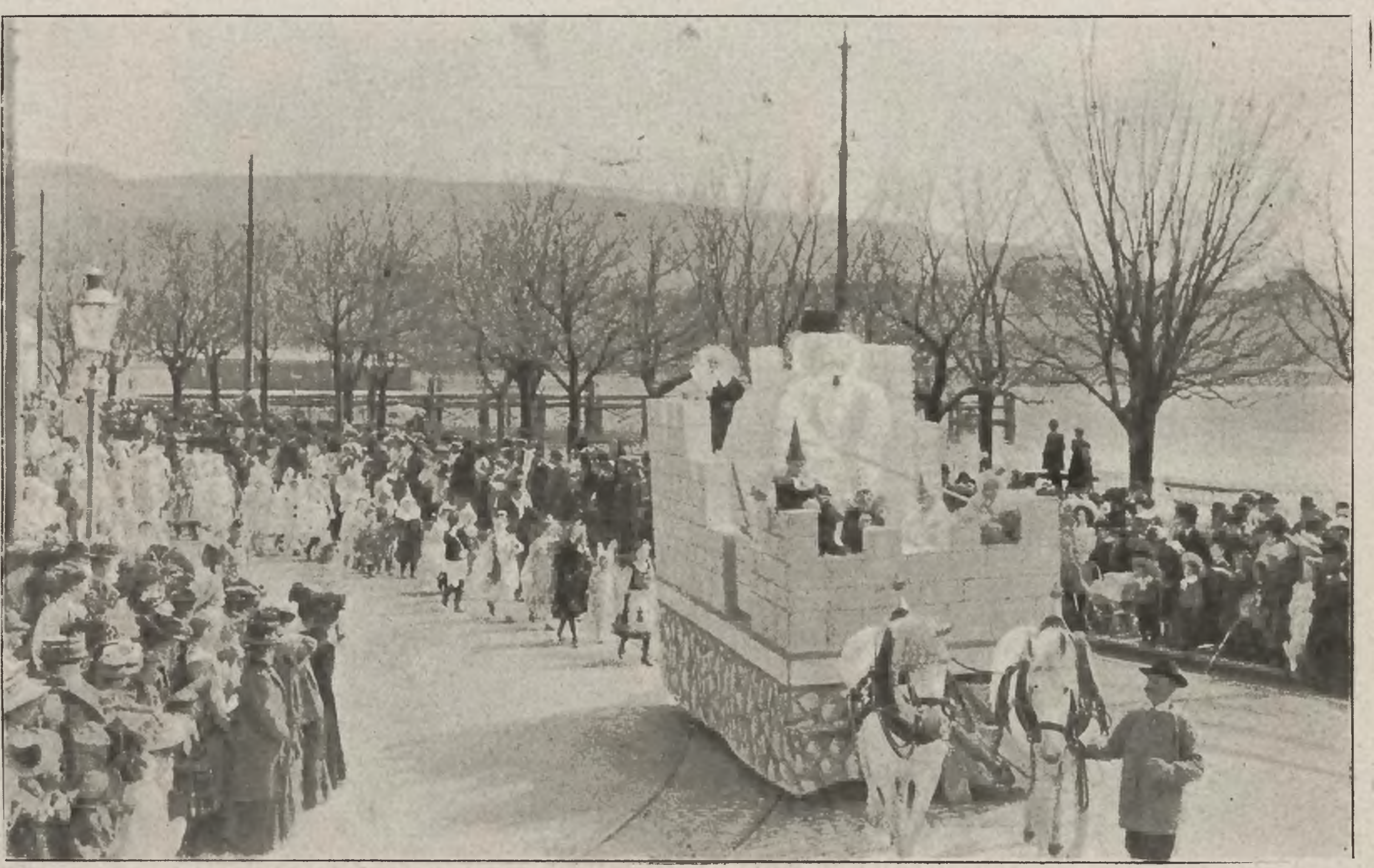
Święto wiosny w Zurychu.

W ojczyźnie Tella dochowało się dotąd sporo zwyczajów ludowych, biorących swój początek w zamierzchłej przeszłości. I tak np., w mieście Zurychu, będącem jednem z najstarożytniejszych, a obecnie największych miast Szwajcaryi, a zarazem jednem z głównych ognisk umysłowych tego kraju, zachował się dotąd średniowieczny zwyczaj uroczystego witania wiosny.

W dniu na taką uroczystość przeznaczonym, przeciąga ulicami tego miasta pochód, w którym biorą udział: korporacye, cechy, oraz zastępy starszej i młodszej dziatwy. Wieczorem zaś w tym samym dniu, zbiera się mnóstwo osób przed ogromnym bałwanem, ulepionym ze śniegu, który z otaczających miasto gór przywieziono. Dookoła tego bałwana, symbolizującego zimę, rozpalony zostaje wielki ogień, pod którego wpływem topnieje on szybko.

Wtedy zapalają się we wnętrzu bałwana ukryte rozmaite ognie sztuczne, a z piersi rozradowanego tłumu rozlega się potężna i wesoła pieśń na cześć powracającej wiosny.

Illustracya nasza przedstawia uroczysty pochód, o którym mowa, a którego uczestnicy ubrani są przeważnie w charakterystyczne i ściśle historyczne kostyumy. Na wozie, który widać na przodzie ryciny, znajduje się ów bałwan ulepiony ze śniegu.



Święto wiosny w Zurychu: Pochód uroczysty przez ulice miasta.

Walka o polską szkołę.

Zacięta walka, wypowiedziana Polakom na Śląsku austryackim, nietylko przez Niemców, ale także i Czechów, gdzieindziej głoszących hasła braterstwa słowiańskiego, zmusza ich do samoobrony i zwraca uwagę wszystkich innych dzielnic Polski na tę prastarą dzielnicę piastowską. W organach prasy codziennej znajdujemy obszerne informacye o pojedyńczych fazach tej walki, jaka rozgrywa się obecnie przedewszystkiem na polu szkolnictwa. Wrogowie nasi bowiem zrozumieli to dobrze, iż drogą niemczenia lub czechizowania polskich dzieci dojdą najpewniej do zamierzonych celów na kresach zachodnich.

W niniejszym numerze podajemy fotografie dwóch szkół czeskich, oraz szkoły i ochronki polskiej w Michałkowicach pod Ostrawą, gdzie walka o szkołę narodową przybrała bardzo zacięty charakter. Do roku 1901, w którym powstała tam szkoła polska, był spokój, bo dzieci polskie uczęszczały do szkoły niemieckiej, lub czeskiej. Skoro jednak szkoła polska, początkowo dwuklasowa, zaczęła się rozwijać, używano wszelkich sposobów, aby odwieść robotników polskich od posyłania do niej swych dzieci. Między innemi prześladowano górników, którzy stanowią tamtejszą ludność polską, zmniejszaniem zarobków, a klasę trzecią polskiej szkoły umieszczono w szpitalu epidemicznym *(sic!)*. Pod tą klasą znajdowała się trupiarnia szpitala — o czem pisaliśmy w nrze 44 *Nowości Illustrowanych* z ubiegłego roku.

Gdy zaś Macierz śląska zaczęła budować dla dzieci polskich ochronę w Michałkowicach, wydział gminny stawiał jej wszelkie możliwe przeszkody. Wreszcie przerobiono dawny szpital epidemiczny na szkołę polską, która już teraz okazuje się za ciasną i zupełnie nieodpowiednią dla tej ilości polskich dzieci, jaka do niej uczęszcza.

Z załączonych rycin widać, z jakim sumptem wystawione są szkoły czeskie, a jak skromnie wygląda polska szkoła i ochronka, chociaż w Michałkowicach zamieszkuje przeszło 4000 Polaków. Zdani są oni jednak na łaskę i niełaskę Czechów, którzy dzięki niesprawiedliwej ordynacyi wyborczej, mając większość w radzie gminnej, wyzyskują tę przewagę w sposób bezczelny.



Walka o polską szkołę: Polska szkoła ludowa w Michałkowicach.

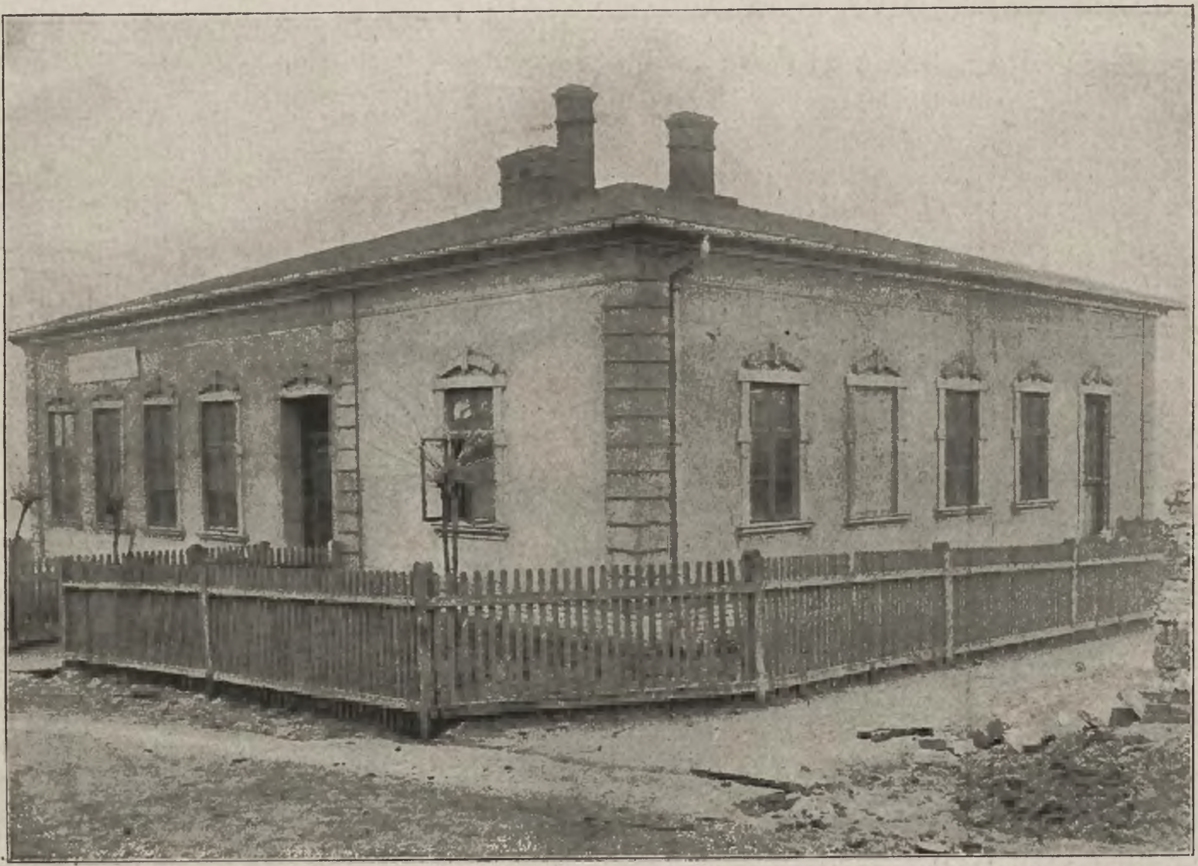
Nieszczęśliwy wypadek.

Dosyć często zdarza się słyszeć i czytać o nieszczęśliwych wypadkach, będących następstwem operowania nagniotków. Jeśli wycinania podejmuje się osoba do tego ukwalifiikowana, wie ona, co należy zarządzić, aby operowanego uchronić od przykrych następstw, jakiemi są zanieczyszczenie rany i wywołanie przez to zakażenia krwi, które niestety często kończy się śmiercią, jak to mieliśmy niedawno dowód na ś. p. Gniewoszu, obecnie zaś na ś. p. Horochu. Ś. p. Adam Horoch zaciął się do krwi przy operowaniu nagniotka, a choć ranka na pozór była małoznaczącą, wywołała zakażenie krwi i spowodowała śmierć człowieka, który mógł jeszcze wiele lat pracować wydatnie dla kraju i społeczeństwa.

Adam baron Horoch, pochodzący z rodziny dobrze na kartach naszych dziejów zapisanej, prezes lwowskiego Oddziału Towarzystwa gospodarskiego i członek rady powiatowej lwowskiej, zmarł w 59 roku życia w majątku swoim Winniczki pod Lwowem. Powodem śmierci było, jak wspomnieliśmy, zakażenie krwi, w następstwie zacięcia nagniotka. Pomimo pomocy lekarskiej nieubłagana śmierć po krótkiej słabości zabrała człowieka w sile wieku, powagę w sprawach rolnych, kochanego i szanowanego przez współobywateli i ludność włościańską i okryła żałobą rodzinę i szerokie koła znajomych ś. p. zmarłego. W zmarłym traci społeczeństwo jednego z dzielnych pracowników, doskonałego agronoma i człowieka o wielkich zaletach osobistych, które za-



Nieszczęśliwy wypadek: Adam br. Horoch



Walka o polską szkołę: Ochronka polska w Michałkowicach.

Dla tak ciężką stratą doświadczonego małżonka niechaj przynajmniej to będzie pociechą, że towarzyszy mu współczucie ze strony całego Krakowa, którego mieszkańcy mają trwale w swem sercu i pamięci zapisane jego zasługi i pracę tyloletnią dla dobra współobywateli.

Wielki pożar we Lwowie.

W ubiegłym tygodniu wybuchł we Lwowie pożar bardzo groźny, jakiego w mieście tem od wielu lat nie oglądano; na szczęście udało się sprężystej straży ogniowej lwowskiej zapobiedz gorszym następstwom i większym szkodom, którymi pożar ten groził.

Ogień wybuchł w godzinach popołudniowych, w czasie gdy największy ruch panował w mieście: zajęły się z niewyjaśnionych na razie przyczyn rozmaite przedmioty na strychu dwupiętrowej kamienicy narożnej od ul. Krakowskiej i pl. Krakowskiego. Okienkami strychowemi począł się wydobywać naprzód dym, a następnie języki ogniste, wnet potem płomień przeżarł dach i buchnął wysokim, jaskrawym słupem w górę.

Rozległ się wówczas donośny, jękliwy głos dzwonu pożarowego z wieży ratuszowej a dźwięk jego zaalarmował tłumy publiczności, która poczęła gromadzić się obok płonącej kamienicy. Równocześnie prawie stanął na miejscu wypadku tren straży ogniowej pod kierunkiem naczelnika p. Żytnego i wnet zabrał się do ciężkiej walki ze strasznym żywiołem.

wsze i wszędzie jednały mu szacunek i poważanie. Dowodem tej popularności i uznania, jakie ś. p. zmarły umiał sobie zjednać w najszerszych kołach, jest ogólny żal, jaki przedwczesna śmierć jego wywołała.

Cześć jego pamięci!

Zgon zacnej obywatelki.

W Krakowie, żywiej niż w któremkolwiek innem mieście polskiem dochowały się, obok wielu pamiątek lepszej przeszłości, tradycye pięknego życia rodzinnego, które stanowiło jedną z chlubnych stron charakteru mieszczaństwa tego sławetnego grodu. I dziś jeszcze spotykamy tam rodziny, przechowujące wiernie patryarchalne cnoty, odziedziczone po przodkach i świecące godnym naśladowania przykładem.

Jedną z takich zacnych rodzin dotknął przed kilku dniami cios bolesny, spowodowany śmiercią śp. Maryi z Majerów Friedleinowej, żony byłego prezydenta miasta Krakowa oraz obywatela i księgarza, p. Józefa Friedleina. Śp. Marya, siostra Józefa Majera, znakomitego uczonego i pierwszego prezesa Akademi Umiejętności, będąc wzorem dobrej żony, matki i obywatelki, przeżyła w szczęśliwem małżeństwie przeszło pół wieku, w 1896 roku bowiem obchodzili państwo Friedleinowie złote gody weselne, podczas których odebrali mnóstwo gratulacyj od licznego grona swych przyjaciół i znajomych.



Walka o polską szkołę: Czeska szkoła ludowa w Michałkowicach.



Walka o polską szkołę: Czeska szkoła wydziałowa żeńska w Michałkowicach.



Zgon zacnej obywatelki: Ś. p. Marya Friedleinowa.

Puszczono w ruch trzy hydranty i strumieniami wody poczęto zalewać ogień. Masa wody, spływającej z ogromną siłą na centra pożaru, wywarła należyty skutek, to też po krótkim stosunkowo czasie niebezpieczeństwo rozszerzenia ognia minęło, a straż mogła przystąpić do ostatecznego ugaszenia płomieni.

Ofiarą padł tylko dach i strych kamienicy, resztę zaś domu zdołano uratować, ku wielkiej radości licznych mieszkańców tej dużej realności.

Akcyi ratunkowej przypatrywały się tłumy ludności, zwabionej dźwiękiem dzwonu alarmowego i widokiem czarnego dymu, kłębiącego się nad całą tą stroną miasta.

Szkoda, spowodowa pożarem, wynosi około 10.000 koron, była jednak ubezpieczona. Śledztwo, jakie władze wytoczyły, wyjaśni prawdopodobnie przyczyny pożaru.

Francuski aeroplan w Wiedniu.

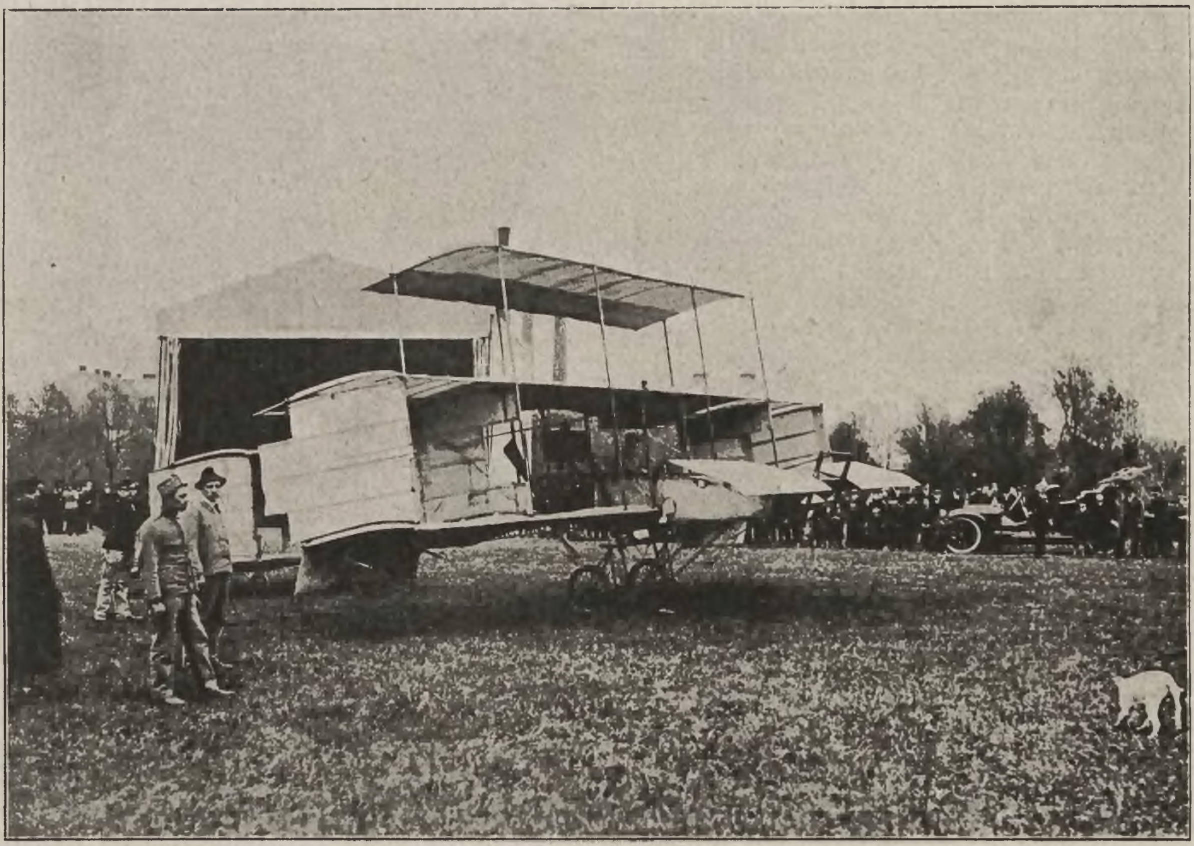
Zanim inżynier Hippsich będzie mógł zaprodukować swój aeroplan, interesujący o tyle, iż jest pochodzenia austryackiego, ujrzą Wiedeńczycy popisowy wzlot francuskiego aeronauty Legagneux'a, na aeroplanie „Henri Farman I bis“, na aeroplanie więc francuskiego systemu.

Jak wiadomo, jest Farman jednym z pierwszych twórców maszyn do latania, cięższych od powietrza i namiętnym przeciwnikiem żeglugi napowietrznej w balonach. Przyszłość aeronautyki widzi on, podobnie jak współcześni mu bracia Wilbur i Orville Wrightowie, w aeroplanach i nad budową ich, oraz wydoskonaleniem od długiego szeregu lat z zapałem pracuje.

Rezultaty tej pracy nie są zbyt świetne i stoją dość daleko za rezultatami usiłowań Wrightów. W każdym razie przyczynią się poważnie do dalszych prac i postępów nad rozwiązaniem tego doniosłego problemu.

Dla Wiednia stanowić będzie wzlot Lagagneux'a niemałą sensacyę, choćby z tego już powodu, iż będzie najzupełniejszą nowością, dotąd bowiem Wiedeńczycy nie mieli sposobności oglądać tego rodzaju widowisk.

Na rycinie naszej widać aeronautę Lagagneux'a obok maszyny do latania, na chwilę przed podjęciem próbnego wzlotu.



Fracuski aeroplan w Wiedniu: Aeroplan Lagagneux'a.

Lokomotywa-olbrzym.

Technika kolejnictwa austryackiego poszczycić się może nowym — dość zresztą rzadkim — postępem. Zbudowano mianowicie w warsztatach w Florisdorfie pod Wiedniem nową olbrzymią lokomotywę, systemu inżyniera Goelsdorfa, radcy ministeryalnego w ministerstwie kolejowem i w ubiegłym tygodniu rozpoczęto z nią próby.

Lokomotywa ta jest prawdziwym kolosem, w kształcie olbrzymiego cygara, barwy ciemno stalowej, o 10 kołach, z których sześć tylnych na średnicy 2·20 m.; długość maszyny wraz z tenderem wynosi 23 m., a ciężar w stanie „służbowym“, tj. z węglem i wodą, 84.000. Powierzchnia paleniska wynosi 4·6 m², powierzchnia ogrzewalna kotła 297 m², tender ma pojemności 17 m³ wody, a może wziąć węgla 10.000 kg. Koszt jej budowy wynosił 164.000 kor.



Wielki pożar we Lwowie: Tłumy ludu, przypatrujące się akcyi ratunkowej

Próby z nową lokomotywą odbywały się na przestrzeni Wiedeń - Kraków - Lwów. Z Krakowa ruszyła do Lwowa w dniu 20 kwietnia rano o 9·30. Prowadziła niezwykły pospieszny pociąg, prawie dwa razy dłuższy niż zwykłe, złożony z 12 pullmanowskich wozów czteroosiowych. Obciążenie wynosiło 403 ton, gdy zwyczajne obciążenie pociągu pospiesznego dochodzi najwyżej 200 ton. Do maszyny wsiadł konstruktor jej inżynier radca Goelsdorf i prowadził osobiście pociąg, miejsca zaś w jednym z wagonów zajęli dyrektor kolei radca dworu Horoszkiewicz i jego zastępca p. Zborowski, oraz kilku urzędników z dyrekcyi krakowskiej i z ministeryum.

Pociąg ruszył z miejsca wolno, ale spokojnie i bez jakichkolwiek trudności. Maszyna pociągnęła łatwo 12 ogromnych wagonów, nie wydając przytem syczeń ani łoskotu. Zaraz za Krakowem podniesiono chyżość, która doszła do 106 klm. na godzinę. Jest to chyżość w Austryi dotąd niebywała. Najszybsze bowiem pociągi pospieszne biegły dotąd z szybkością 80 klm. w godzinie.

Następnego dnia ten sam pociąg powrócił do Krakowa i stanął na dworcu krakowskim po czterech godzinach jazdy ze Lwowa. Na dworcu tutejszym oczekiwały przybycia kolosu tłumy publiczności. Wjazd odbył się zupełnie spokojnie, dając dowód doskonałości nowej lokomotywy.

Długi wąż wagonów wypełnił całą przestrzeń toru w hali peronowej, wskutek czego maszyna znalazła się po za obrębem hali. Otoczył ją zaraz tłum ciekawskich, przypatrując się z wielkiem zainteresowaniem szczegółom kolosu i komentując znaczenie każdego koła, każdej śruby i całego mechanizmu.

W parę minut po przyjeździe pociągu, lokomotywę „odprzęgnięto“ i odprowadzono do ogrzewalni, ogromny pociąg zaś powlokła na boczny tor z wielkim trudem stara jakaś lokomotywa, jęcząc przytem, sapiąc i prychając ku ogólnej radości gapiów.

Było to niejako zademonstrowanie różnicy między siłą pociągową downiejszych maszyn, a siłą nowej. Oczywiście na korzyść tej ostatniej.

Rycina nasza przedstawia lokomotywę tę, „odpoczywającą“ na dworcu krakowskim po forsownej jeździe ze Lwowa.



Śmierć wybitnego Młodoczecha: Ś. p. dr. Jan Kaftan.

Śmierć wybitnego Młodoczecha.

Naród czeski, a w szczególności stronnictwo młodoczeskie, poniosły bardzo dotkliwą stratę przez śmierć wybitnego polityka ś. p. Kaftana, jednej z najwybitniejszych czeskich osobistości ostatniej doby.

Ś. p. Jan Kaftan urodził się 11 września 1841 roku w Pradze. Po ukończeniu tamtejszej politechniki został urzędnikiem kolei zachodnio-czeskiej, a następnie zajęty był jako naczelny inżynier przy budowie rozmaitych dróg żelaznych, jak kolei Praga-Dux, Rakonitz-Protivin i wielu bardzo linii lokalnych w Czechach i na Morawach, do których dawał i inicyatywę. Przedsiębrał też liczne podróże za granicę w celu studyów nad kanalizacyą i regulacyą rzek, a powróciwszy do kraju dał impuls do zwołania ankiety w sprawie uregulowania Wełtawy w obrębie miasta Pragi i założenia tamże przystani. Od roku 1889 piastował godność posła do sejmu czeskiego, w r. 1891 powierzyło mu stronnictwo młodoczeskie mandat do Rady państwa, gdzie gorliwie popierał interesy swego kraju i narodu. Za jego staraniem przyszło za rządów Badeniego do skutku skanalizowanie Wełtawy i Łaby kosztem trzynastu milionów guldenów, jakie na ten cel ofiarował rząd i kraj, niemniejszą też zasługą było wystąpienie jego tak w sejmie jak i Radzie państwa w sprawie czeskich kopalń węgla kamiennego i zapobieżenie dotychczasowej rabunkowej gospodarce. Prócz tych zasług na polu technicznem, przysłużył się też dzielnie swemu narodowi na polu pracy społecznej, stanowiąc jeden z filarów stronnictwa młodoczeskiego i słusznie zupełnie uważanym bywa za ojca i twórcę sieci kolei lokalnych na czeskiem południu. Długie lata zasiadał ś. p. Kaftan w wydziale rady miejskiej praskiej, był członkiem krajowej rady kolejowej, komitetu skanalizowania Wełtawy i Łaby, państwowej rady kolejowej i wielu bardzo towarzystw. Rodzinne miasto w uznaniu pracy i trudów nadało mu złoty medal zasługi, jedenaście miast czeskich swe honorowe obywatelstwo, a czeska technika w Pradze zamianowała go honorowym doktorem umiejętności technicznych.

Ś. p. Kaftan od dłuższego czasu zapadał na zdrowiu: przyczyną śmierci było cierpienie nerek, które przedwcześnie położyło kres życiu zasłużonego męża.

Poświęcając niniejszą sylwetkę pamięci wybitnego parlamentarzysty czeskiego, zamieszczamy obok jego portret.



Lokomotywa olbrzym: Lokomotywa systemu radcy Goelsdorfa.

Dr. A. WYLM.

KORALOWY RÓŻANIEC

Romans psychiczny. Ciąg dalszy.

— No, to będzie, do licha! — odrzekł, śmiejąc się doktór. — Poczekajcie jednak z swym mistycyzmem, aż baron i ja wyjdziemy. Podniosłe sprawy źle działają na trawienie.

— Jak się ma panna Franchard — zapytał mnie ksiądz, zmieszany trochę rubasznym tonem doktora.

— Narazie niema nic niebezpiecznego — odpowiedziałem — mimo to stan chorej jest poważny i trzeba nad nią czuwać.

Rozpoczął się długi i ceremonialny obiad, który przejął w zupełności barona i doktora. Franchard odzywał się mało, przeważnie dla wymieniania różnych gatunków win, kiedy i od kogo je nabył, przytem wymieniał stare daty i stare rodowe nazwiska. Wina istotnie były doskonałe: piłem je według zwyczaju umiarkowanie, zato nie szczędził ich sobie mój kolega. Ksiądz Jauga jadł tylko jarzyny i popijał je wodą. Na czarną kawę przeszliśmy do gabinetu. Proboszcz nie używał jej i nie palił, odpowiedział mi jednak, gdym go częstował, iż dym mu nie szkodzi. Szukał wyraźnie zbliżenia ze mną. Po dość długiem milczeniu i namyśle, odezwał się do mnie niespodzianie i jakby czynił nad sobą jaki wysiłek:

— Co pan sądzi w istocie o stanie panny Franchard?

— Całe swe zdanie już wyraziłem księdzu proboszczowi.

— A czy poinformowano pana doktora wśród jakich okoliczności zaczęła się gorączka?

— Ogólnikowo tylko.

— Czy powiedziano panu, że widuje stale we śnie młodego człowieka, który był dzisiaj na mszy i że prosiła swego ojca o zerwanie, lub choćby odłożenie małżeństwa z panem Delille i tylko wskutek odmowy zachorowała?

Nie odpowiedziałem na to. Zostałem powiadomiony o tych szczegółach tylko jako lekarz i dlatego uznałem za stosowne milczeć. Ksiądz zapewne domyślił się tego, gdyż dodał:

— Proszę wybaczyć moją niedyskrecyę: jestem bardzo przywiązany do panny Franchard, którą chrzciłem.

Po chwili milczenia mówił dalej:

— Obawiam się, czyli pytam się, raczej... Ach! Zresztą — zawołał ten zacny ksiądz — niech mnie pan zwolni od wszelkich ogródek. Nie potrafię tego, nic w sobie nie mam z dyplomaty. Wiem, co pan Franchard mówił o snach swej córki, nie przykłada do nich żadnego znaczenia, ale też nie zna ich dokładnie.

Czy pan wie, jak się zaczęły te sny? Dziecko to — mówił ksiądz z zabawnem zakłopotaniem — opowiedziało mi swoją historyę. Ale nie na spowiedzi; ona wie, że wierzę w rzeczy, w które ludzie nie wierzą. Ufa mi ona. Powiedziała mi, że zgubiła koralowy różaniec, który przywiozłem jej z Rzymu; był on poświęcony przez papieża Leona XIII. Nie przywiązywałem do tej zguby żadnej wagi, gdy naraz przyszła do mnie do zakrystyi. Chciała się poradzić mnie: odpowiedziałem, że wskazówek duchownych udzielam tylko w konfesyonale, wtedy wyznała mi, że opowiedziała o snach rodzicom, ale nazwali ją waryatką, nie chce więc już więcej narażać się na drwiny ojca. Przyznam się ze skruchą, że słowa te obudziły moją ciekawość. Zacząłem ją słuchać i dowiedziałem się niezwykłej historyi; nadmieniła mi także, że pan o tem wie i dlatego mówię o tem doktorowi.

— Panna Franchard powiedziała, że ja jestem wtajemniczony w jej historyę? — zapytałem ze zdziwieniem.

— Tak! Zaraz pan się o tem dowie. Nie mogę mówić w obecności innych osób o tem, co mam do odkrycia tylko panu. Doktór zna pana Leyre?

— Znam.

— Panna Franchard powiedziała mi, że pan Leyre opowiedział wszystko doktorowi.

— To mniejsza, ale co dalej?

Ksiądz spojrzał na mnie tajemniczo, uśmiechnął się i opisał mi dość szczegółowo niezwykłe spotkania panny Franchard z młodym chemikiem. Zgadzało się to z tem, co mi mówił Leyre.

— Sądziłem, że leży to w interesie panny Franchard, bym powiedział doktorowi to, co od niej słyszałem. Ona wie, że doktór jest jakby duchowym kierownikiem tego młodego człowieka i tylko dla jej dobra wyznaję to wszystko panu.

Milczałem, zastanawiając się uważnie nad opowiadaniem księdza. Zwierzenia pana Leyre, czynione tajemniczej postaci były obszerniejsze, niż mi o tem mówił i przypuszczam, że ich rozmowy duchowe przekroczyły granice zwykłej sentymentalności. Panna Franchard nietylko musiała wyznać wszystko to szczegółowo, ale i wyjawić w konfesyonale swe tajemne myśli i teraz widzę, skąd wzięło się delirium młodej panny. Ksiądz musiał wywierać duży wpływ na rozwój jej myśli. Znalazł w niej duszę podatną do marzeń i sam ją zapewne wprowadził na mistyczną drogę rozmyślań i kontemplacyi. Matka Boska była prawdopodobnie przedmiotem jej gorących modlitw, odmawianych po największej części na koralowym różańcu. Wpływ tego narzędzia modlitwy, poświęconego przez wielkiego papieża, mógł być dla niej tylko boskim. Łącząc we śnie jej duszę z duszą pana Leyre, Matka Boska w pojęciu tej młodej panny stawała się specyalną ich opiekunką i życzyła sobie ich związku.

Gdym ja rozważał te szczegóły, ks. Jauga jakby nie widząc mnie wcale, pogrążony był w głęboką zadumę: jasne i żywe jego oczy rzucały gdzieś w dal swe spojrzenia, myśli jego przejęte były obawą jakiejś winy, gdyż przepraszał o coś Pana Boga wymawiając często szeptem to imię. Wreszcie skończył swą modlitwę i zwrócił na mnie swe oczy.

— Muszę się wydawać panu doktorowi dziwakiem — rzekł z zakłopotaniem. — Jestem starym księdzem bez znajomości form światowych.

— Widzę tylko, że ksiądz proboszcz jest zacnym człowiekiem, a Bóg sądzi nas według naszej woli. Niech ksiądz nie traci ufności. Teraz chcę udać się do chorej, przy której spędzę noc; spodziewam się, że jutro będzie widoczne polepszenie. Niech mi tylko jeszcze ksiądz proboszcz powie, czy baron jest pobożny?

— Tak, ale obawiam się, że jego pobożność jest taka, jak wielu innych ludzi światowych. Więcej dla nich znaczy forma, niż treść.

— Czy można spodziewać się, że troska o zdrowie córki, istnienie jakiejś tajemniczej siły, którą ksiądz proboszcz przypisuje Panu Bogu, mogą go skłonić do odłożenia ślubu?

— Baron nie wierzy w tajemnicze wpływy, które stają w poprzek jego woli. Boga uważa za tak rozsądnego, iż jest on zawsze jednego z nim zdania. Pan Bóg jest zbyt roztropny, według niego, by pobudzał córki do nieposłuszeństwa ojcu. Niestety umysł barona widzi palec Boży tylko w tem, co jemu samemu się podoba i czego chce. Więcej wpłynąć na niego może troska o zdrowie córki, ale wtedy swe ustępstwo pozorne takiemi zatruje wymówkami, iż z góry będzie wiedział, że córka go nie przyjmie i ulegnie wkońcu jego woli.

— Więc koniec końcem postawi na swojem?

— Tego właśnie obawiam się.

— A pani Franchard?

— Pani baronowa jest bardzo dobrą i nabożną. Kocha swą córkę i chce ją widzieć szczęśliwą, ale poddana jest woli męża. Słabą jest i bez energii.

— Dziękuję, księże proboszczu. Sytuacya jest rozpaczliwa, mimo to nie tracę nadziei.

— Niech Bóg pana wysłucha — rzekł ksiądz, czyniąc znak krzyża.

Pożegnałem barona i doktora Dussirona, którzy tak byli zajęci polityką, iż nie zwrócili zupełnie uwagi na mą rozmowę z księdzem i udałem się do pokoju chorej. Była już dziesiąta godzina.

Panna Franchard znajdowała się w tym samym stanie; zmierzyłem temperaturę, która wynosiła 39·8. Baronowa siedziała przy córce i cicho płakała.

Przysunąłem fotel do łóżka, odprawiłem pokojówkę, prosząc, by była gotową na każde wezwanie i pozostałem sam z panią Franchard.

— Niech pani uspokoi się — rzekłem jej. — Stan córki nie pogorszył się, a to dobrze wróży.

— Ach! Panie, żeby to tak było w istocie!

— Spodziewam się, że nastąpi wkrótce uspokojenie i dlatego nie zapisuję żadnego lekarstwa. Oczekując, chciałbym dowiedzieć się od pani, wśród jakich okoliczności okazała się choroba. Czy córka była bardzo wzruszoną, widząc w kościele pana Leyre?

— Nie. Ujrzeliśmy tego pana przy wyjściu. Łucya zatrzymała się nagle i zawołała: „Och, mamo, oto ten pan, którego we śnie widuję“. Młody ten człowiek ukłonił się nam, na co Łucya odpowiedziała. Od tej chwili stała się zamyśloną, nie odzywała się wcale i dopiero po powrocie do zamku prosiła ojca o odłożenie ślubu. Żałuję bardzo, iż żartowałam ze snów biednego dziecka! Przestraszyłam ją i przerwałam jej zwierzenia.

— O ile mogę zrozumieć, to córka pani przypisuje swe sny wpływowi Boskiemu?

— Tak, panie.

— Wyobraża sobie, że jest zmuszoną do wyboru między posłuszeństwem ojcu i poddaniem się woli Boskiej?

— Tak.

— Czy jest bardzo nabożna?

— Nie bardzo. Odmawia swe modlitwy, bywa regularnie na mszy w niedziele i czwartki, nieraz towarzyszy mi i na nieszpory. Ma tylko specyalne nabożeństwo do Matki Boskiej.

— Czy modlitwy jej są długie?

— Nie.

— Czy odprawia medytacye?

— Tak. Zamyka się codziennie w tym celu na pół godziny w swym pokoju. Wiem także, że za przedmiot swych medytacyi wybiera zawsze żywot Matki Boskiej.

— Czy państwo nie sprzeciwiali się tym praktykom?

— Wcale nie. Polecił je nam przecież spowiednik. Jakież zarzuty moglibyśmy czynić?

— A co pani sama sądzi o deliryum córki. Czy wierzy pani we wpływ nadprzyrodzony na jej sny.

— Nic nie wiem — odpowiedziała z wahaniem. — Nie mogę tutaj widzieć sprawki dyabelskiej. Bóg nie pozwoliłby na kuszenie młodych dusz. Lecz, jak panu doktorowi przedstawia się choroba córki?

Przyznam się, że odpowiedź moja była obłudna. Chciałem zdobyć zaufanie pani Franchard i nie wyjawiłem swego zdania, jako niezgodnego z kościołem. Skryłem swoją niewiarę.

— Nie bardzo jestem biegły w tych sprawach — odrzekłem — lecz ksiądz Jauga nie sądzi, by wypadki, wywołane znalezieniem poświęcanego różańca, mogły być przypisane dyabłu. Widzi w tem raczej działanie Pana Boga, dla którego córka pani żywiła specyalny kult.

Spostrzegłem, że poruszyłem czułe struny. Jak wiele kobiet katolickich, pani Franchard mieszała z prawdziwą pobożnością całą masę przesądów; tak dobrze wierzyła w nieomylność papieża, jak i w to, że modlitwa do św. Antoniego Padewskiego pomagała do znalezienia zgubionej rzeczy.

— Więc pan doktór przypuszcza tutaj działanie Opatrzności?

— Nie wydaje mi się to niemożliwem — odpowiedziałem, rumieniąc się ze swego kłamstwa — nie mogę tutaj nic stanowczego orzec, gdyż zbyt mało mam wiadomości teologicznych, by należycie ocenić te fakty; w każdy razie jestem przekonany, że wypadek, a tem mniej dyabeł nic tu nie mają do działania.

— Jeżeli więc nie jest to ani wypadek, ani szatan, w takim razie Opatrzność — rzekła baronowa. — Jest to także i zdanie księdza proboszcza, który jest świętym człowiekiem — dodała z przekonaniem.

— Zdaje mi się, że wkrótce nastąpi kryzys — odezwałem się, spoglądając na chorą — muszę więc uważać bacznie. Niech pani niczem się nie trwoży, coby się nie stało. Proszę mi ufać.

Spostrzegłem, że chora uspokajała się: słowa jej stawały się rzadsze, powieki opadały na dół, wreszcie przymknęły się zupełnie oczy; oddech był regularny. Gdy przekonałem się, że zupełnie usnęła, powróciłem do przerwanej rozmowy.

— Muszę pani wyznać powody, które nakazują mi spodziewać się polepszenia, proszę jednak nie wyjawiać tego nikomu. Sądzę, że noc przyniesie córce pani zwykły sen.

Jeżeli się nie mylę, zacznie ona zaraz błędnąć. Proszę nie niepokoić się: niech pani nie okazuje żadnego wzruszenia, nie czyni żadnego szmeru ani ruchu, który mógłby obudzić śpiącą, nie mógłbym w przeciwnym razie odpowiadać za jej wyzdrowienie. Niech pani będzie spokojną, rozmawia ze mną i oczekuje obudzenia córki, a wszystko pójdzie dobrze. Muszę tylko przestrzedz panią, że córka może słyszeć naszą rozmowę i ją zapamiętać; proszę więc zachować zimną krew i nie dziwić się niczemu, naprzykład gorliwości, z jaką będę bronił wpływu Opatrzności na tę sprawę. Oczekujmy teraz cierpliwie.

Zacząłem znowu obserwować chorą, podczas gdy pani Franchard odmawiała różaniec. Co ja miałem mówić? Zdawałem sobie sprawę, że wprowadzam do leczenia nie medyczne środki, że sam w swe słowa nie wierzę. Zarumieniłbym się, gdyby doktór Dussiron mógł być świadkiem mego systemu terapeutycznego; na szczęście śpi teraz jak zabity. Zastanawiam się nad tem, o czem mam rozmawiać z baronową, by wywrzeć zbawienny wpływ na chorą. Chciałem dodać nadziei i odwagi tym młodym ludziom, okazać, że jestem ich sprzymierzeńcem i będę im pomagał wedle sił. Byłem pewny, że i pan Leyre będzie mnie słyszał, należało więc go przygotować, że wobec uporu barona nie będzie możności odłożyć ślubu, ale zarazem i pocieszyć, że mimo t

może nastąpić po różnych przeszkodach i ich związek małżeński.

Koło godziny pół do dwunastej zauważyłem, że chora blednie i przyjmuje trupi wyraz, jak mi o tem mówił młody chemik. Przerwałem wtedy milczenie, które zachowywaliśmy blisko od godziny i odezwałem się w sposób najnaturalniejszy.

— Rozważyłem to wszystko, proszę pani i jestem przekonany, że Opatrzność urzeczywistni ich pragnienia, pomimo przeszkód, stawianych przez ludzi. Obawiać się można tylko skrupułów pani męża, iż dał już słowo co do ślubu córki. Lecz czy nie udałoby się wykazać baronowi, iż jego skrupuły są przesadzone?

— Niestety, panie doktorze, nie będzie można przekonać mego męża; nie pozwala dawać sobie żadnych rad, nie dopuści też i żadnych wskazówek.

— Lecz jeżeli w grę wchodzi zdrowie córki?

Oczy pani Franchard napełniły się łzami.

— Musiałaby Łucya być bardzo chorą, by odłożył ślub. Wątpię, by kiedykolwiek zerwał narzeczeństwo, a pewną jestem, że nie da zgody na żadne inne małżeństwo. Byłoby to skazanie mego jedynego dziecka na staropanieństwo i opuszczenie, gdy my pomrzemy.

— Lecz pani chyba nie sprzeciwi się temu, co ksiądz proboszcz uważa za wolę Opatrzności?

— Ja? Panie. Nie, nigdy! Zresztą zawsze pozostawiałam córce wolny wybór narzeczonego. Jako matka, wiem dobrze, do czego zobowiązuje małżeństwo i nie mogłabym narzucać jej swej woli.

Uwaga ta, wypowiedziana z całą naiwnością, dała mi dużo do myślenia. Pan Franchard widocznie nie zawsze był czułym i podejrzewam, że temu ciasnemu, upartemu, mieszczańskiemu baronowi zbywa na delikatności. Pani Franchard nie mogła mieć swej woli, lecz musiała ulegać we wszystkiem mężowi.

Starałem się podburzyć ją.

— A pani nie mogłaby interweniować? Przecież głos pani ma znaczenie i mąż musi go wysłuchać.

— Nie zna go pan doktór, zbyt jest uparty.

Pani Franchard spostrzegła, że wydała tak ostry sąd o mężu w obecności obcego, pośpieszyła też dodać.

— Chcę przez to powiedzieć, że czyni tylko to, co uważa za swój obowiązek. Dosyć znam jego myśli, bym jeszcze mogła wątpić o stanowczości jego woli. Zresztą rozmówił się już o tem z córką.

— A czy proboszcz nie zostałby wysłuchany?

— Nie więcej odemnie. Mój mąż jest dobrym znajomym księdza arcybiskupa i słyszał nieraz, jak jego eminencya żartował z poglądów mistycznych naszego proboszcza. Ksiądz Jauga jest za surowym dla siebie, a za dobrym dla innych. Nie może też mieć wpływu na mego męża, który nieraz gani pobłażliwość proboszcza.

— Jest to bardzo przykre, gdyż wiele liczyłem na tego zacnego kapłana. Będę w takim razie sam mówił z baronem.

— Pan na to się zdecyduje? — zawołała pani Franchard, drżąc cała. — Pan doktór strasznie rozgniewa mego męża.

— Bardzo będę tego żałował, lecz aż do końca muszę spełnić swój obowiązek lekarza.

— Pan go nie przekona.

— Tem gorzej dla niego.

Potem dodałem z niezwykłą powagą:

— Widzę, że ten ślub odbędzie się; upór pana Francharda doprowadzi do zawarcia małżeństwa, ale ono nie będzie długo trwało. Wola Boska zostanie spełnioną. Będą państwo mieli wiele ciężkich przejść do zniesienia, a będą one o tyle cięższe, o ile z większym oporem państwa będzie się spotykał głos Boży. On jednak przezwycięży wolę ludzką.

Słowa moje zdawały się wywierać wielki wpływ na baronową; patrzyła na mnie z przejęciem, potem, widząc, że zamilkłem, powróciła do odmawiania różańca.

Nagle wśród ciszy, jaka zapanowała w pokoju, usłyszałem szelest. Chora poruszyła się. Zwróciłem na nią wzrok; zrobiła lekki ruch, poczem westchnęła, podniosła zwolna powieki i we mnie utkwiła swe piękne czarne oczy. Uśmiechnąłem się do niej, na co odpowiedziała mi również uśmiechem, lecz przepojonym smutkiem.

— To pan doktór Heurtault — odezwała się — cieszę się, że pana widzę. Czuję się daleko lepiej.

Wziąłem ją za rękę, puls był stosunkowo równy.

— I oto pani nie grozi już niebezpieczeństwo: teraz trzeba spać. Odwiedzę panią rano przed odjazdem.

— Niech pan zostanie jeszcze chwilkę; chcę panu powiedzieć, jak bardzo jestem panu wdzięczna.

— Wdzięczna? A za co, moje dziecko?

— Za to, co pan mówił przed chwilą.

— Pani mnie słyszała? Pani udawała tylko w takim razie, że śpi.

— Nie, panie doktorze, pan bardzo dobrze wie w jaki sposób słyszałam. Miałam jeszcze, mamo, swe widzenie — zwróciła się do matki — i tobie także dziękuję.

Podniosła się, nachyliła swą małą główkę w aureoli pięknych włosów i ucałowała baronową.

— Swoją nadzieję pokładam w Banu Bogo.



— Niech Bóg pana wysłucha — rzekł ksiądz, czyniąc znak krzyża.

Wiem, że muszę być posłuszna ojcu i będę, jeżeli tego żąda, ale Najświętsza Panna przyjdzie mi z pomocą, bym żyła dla chwalenia jej, lub umarła i poszła do niej.

— Bądź córeczko rozsądną i nie odkrywaj się.

— Pani Franchard poprawiła poduszki, złożyła na nich głowę córki i okryła ją starannie.

— Śpij teraz, jak doktór zaleca.

— Ale mnie się nie chce spać! Pragnę ci opowiedzieć to, co mi się zdarzyło: chciałabym, aby i pan doktór to słyszał.

— Dobrze, zgadzam się na to, ale po skończeniu zaraz pani będzie spała. Niech pani powie naprzód, skąd zna moje nazwisko?

— Znam pana już oddawna: ale przed chwilą mój gość powiedział mi, że to pan siedzi przy mojem łóżku.

— A więc niech pani opowie, coście robili we dwoje.

— Mój gość był bardzo smutny. On mnie uśpił i uspokoił. Gdy opuściłam swe ciało, czułam się doskonale, chciałam jednak płakać, bo zobaczyłam, że on smutny. Pocałowałam go, by go pocieszyć.

— Łucyo! Co ty mówisz! — zawołała pani Franchard zgorszona.

— Prawdę, mamo! Pocałowałam go i prosiłam, by nie rozpaczał. W chwili tej właśnie pan doktór zaczął mówić; słuchaliśmy i słowa pana doktora dodały nam otuchy. Czuję, że to jest prawda i źle robiłam, wątpiąc o Pomoc Bożą. Jemu się oddaję w opiekę.

— A o czem rozmawialiście, gdym ja milczał? — zapytałem z uśmiechem.

Panna Franchard zarumieniła się lekko, spojrzała na mnie i odparła:

— Pocieszałam swego przyjaciela. On niema tej wiary, co ja. Wiem teraz, gdzie znaleść energię, której będę potrzebowała nie do oporu ojcu, bo byłby to grzech, ale żeby mieć odwagę do poddania się woli Bożej, bez tracenia ufności w jego dobroć.

— Pani jest dobrą chrześcijanką — odparłem.

Podniosłem się i kładąc jej rękę na czole, rzekłem serdecznie:

— Proszę teraz spać i nigdy nie tracić nadziei.

Pożegnałem się z panią Franchard i udałem się na spoczynek, radząc jej uczynić to samo. Źle spałem. Próbowałem zdać sobie sprawę z tych wszystkich przejawów, były one jednak zbyt świeże, skomplikowane i dramatyczne, bym mógł wyrobić sobie o nich jasne odrazu pojęcie. Namyślałem się potem, co powiedzieć baronowi, by go przekonać, lecz nie znajdowałem żadnych środków do złamania jego uporu. Liczyć mogłem tylko na pana Delille. Jeżeli sny panny Franchard będą się powtarzały i po ślubie, wtedy on będzie miał trudną rolę do spełnienia jako małżonek i może dobrowolnie ustąpi. Możebnem także, że Łucya będzie miała z nim szczerą i otwartą rozmowę przed ślubem i wtedy zrzeknie się on pretensyi do jej ręki.

Nie mogąc spać, wstałem o godzinie piątej rano, ubrałem się pospiesznie i wyszedłem do parku. Noc była jasna; księżyc świecił na zachodzie, w blasku jego szron ślnił się na drzewach i trawie gazonów. Szmer kroków jakichś zwrócił mą uwagę, wkrótce zbliżyła się do mnie czarna postać, w której poznałem proboszcza.

— Chciałem pana widzieć — rzekł mi. — Zapewne, jak i ja, nie mógł pan spać i wyszedł przejść się. Jak się ma chora?

— Opuściłem ją przed kilku godzinami, czuje się zupełnie dobrze. Przez dzień lub dwa potrwa tylko znużenie i ból głowy.

— Bardzo modliłem się za nią do Matki Boskiej. Zasługuje to biedne dziecko na szczęście.

— Zdobyła sobie całą moją sympatyę, księże proboszczu. Broniłem jej sprawy przed baronową. Boję się, że byłem trochę hipokrytą, przemawiałem bowiem w imię Pana Boga. Pani Franchard jest jednego z nami zdania, ale ona ulega woli swego męża, pozostaje więc tylko pan Delille i na niego jeszcze można liczyć. Jeżeli, jak przewiduję, te sny będą się ciągnęły, pan Delille będzie miał przed sobą zawsze tylko trupie ciało, a nie żyjącą osobę. Przewiduję z tego powodu wiele zawikłań i baron, w razie gdy nadal będzie się upierał, narazi się na przykrości. Będę też rozmawiał o tem z panem Franchard, przedtem jednak chciałbym się dowiedzieć jakich szczegółów o panu Delille i o okolicznościach, wśród jakich zostało postanowione to małżeństwo. Słyszałem, że odegrał w tem pewną rolę ojciec Furster.

Proboszcz zadrżał. Zatrzymał się i rozejrzał na wszystkie strony. Dokoła panowała cisza i spokój. Ksiądz wziął mnie pod ramię, poprowadził na środek trawnika i wtedy dopiero odezwał się szeptem:

— Nie myli się pan. Narzeczony Łucyi był wychowany przez wielebnych ojców Jezuitów i chociaż nie odznaczał się zdolnościami, zdał egzamina prawnicze. *Pro forma* zapisany jest w sądzie w Bazas, ale nigdy nie urzęduje. Część roku spędza w Paryżu i Nicei, przez pół roku przebywa w swej majętności, Laferriere. Jest lubiany w okolicy za swoją uczynność i uprzejmość. Rodzina jego jest związana węzłami przyjaźni z rodziną barona, ale nikt nie przypuszczał małżeństwa między nim a Łucyą. Jak to powszechnie jest wiadomo, był on związany z panią Lidyą d'Arezzo, z którą zerwał przed kilku miesiącami.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rewolucya w Persyi.

Mocarstwa europejskie byłyby już niezawodnie wmięszały się w sprawę rewolucyi perskiej, wywołanej barbarzyńskimi rządami szacha Mohammeda Ali Mirzy, gdyby nie były tak mocno zaprzątnięte sprawami tureckiemi. W ostatnich czasach dopiero Anglia i Rosya postanowiły podjąć częściową interwencyę, aby położyć kres bratobójczej i urągającej wszelkim pojęciom ludzkości walce, która toczy się od pół roku przeszło na rozmaitych punktach, a szczególniej w mieście Tebrysie.

Ryciny nasze odnoszą się właśnie do walk w tym mieście staczanych między rewolucyonistami, na czele których stoi dzielny Sattar Chan, a wojskami rządowymi.

Na pierwszej z nich widzimy rewolucyonistów, zowiących się „obrońcami konstytucyi“, w chwili gdy bronią jednej z barykad, któremi poprzecinali ulice Tebrysu. Wojsko rządowe, licho wyćwiczone, a nie posiadające dobrych oficerów, od dwóch miesięcy nie może sobie dać rady z rewolucyonistami w Tebrysie, gdzie wśród mieszkańców panuje głód i nędza, trudna do opisania.

Druga zaś rycina przedstawia rewolucyonistów, mających znaczny obszar w mieście do obrony, gdy po kilku na jednym ośle, lub koniku drobnej rasy krajowej, przenoszą się na punkty zagrożone i zawsze uprzedzają żołnierzy szacha.

Dziś — tak samo jak przed kilku miesiącami — nie można sobie nawet w przybliżeniu wyobrazić, jaki obrót wezmą sprawy w państwie „króla królów“.

Władca bowiem Persyi ma to wspólne z sułtanem tureckim, że nie lubi konstytucyi, a natomiast lubi chadzać krętymi a ciemnymi drogami.

To też kiedy pod naciskiem części swych poddanych oraz przedstawicieli mocarstw europejskich, nadał konstytucyę, wnet potem dał posłuch sferom reakcyjnym, które nakłoniły go do cofnięcia tego kroku. Nie miał jednak odwagi uczynić to wprost, więc postarał się o „petycye“ i „prośby“ rozmaitych reakcyjnych duchownych mahometańskich i zasłaniając się tem, odwołał konstytucyę.

Wskutek tego jednak ludność Persyi porwała się do broni.



Rewolucya w Persyi: Rewolucyoniści, broniący barykady ulicznej w Tebrysie.

Z ostatnich walk nad Bosforem.

Niespodziewanie wybuchła ale nader szybko zgnieciona przez Młodoturków rewolta wojskowa w Konstantynopolu, narazie przedstawia się zagadkowo. Do tej chwili nie znamy dokładnie czynników, które ją wywołały, aczkolwiek głos ogółu wskazuje na Abdul Hamida, jako na jednego z moralnych inicyatorów wydarzeń z dnia 12 kwietnia, które, bądź jak bądź, stanowią dowód, że żywioły reakcyjne są w Turcyi jeszcze bardzo potężne, skoro mogły zdobyć się na zainscenizowanie kontrrewolucyi w samej stolicy państwa.

W kontrrewolucyi tej najwybitniejszą rolę odegrało duchowieństwo muzułmańskie wszelkich stopni, jak mułłowie, softowie, derwisze itd., budząc w szerokich sferach ludności stołecznej fanatyzm religijny w obronie rzekomo przez Młodoturków zagrożonego „szeriatu“, tj. praw zwyczajowych, wynikających z koranu.

Wpływom też duchowieństwa przypisać należy, iż prawie cała załoga stolicy przeszła na stronę kontrrewolucyi. Wyjątek stanowiły trzy bataliony, zakwaterowane w koszarach Soraskieratu (ministerstwa wojny), które wobec agitacyi reakcyonistów zachowały się odpornie. Na jednej z rycin naszych widzimy młodych softów (teologów muzułmańskich), wręczających żołnierzom tych batalionów poprzez kratę ogrodzenia koszar, pisma ulotne, w których wzywają ich do buntu.

Szczególnym fanatyzmem odznaczają się mułłowie kurdyjskiego pochodzenia. Jeden z nich, przedstawiony na drugiej rycinie, a ubrany w strój staroświecki i ze staroświecką halabardą w ręku, zagrzewa zbuntowanych żołnierzy do „świętej wojny“ i obrony „szeriatu“, czem wzbudza olbrzymi zapał w otaczających.

Namiętna ta agitacya przeciwkonstytucyjna nie wyszła jednak na dobre ani im samym, ani ich gorliwemu opiekunowi, sułtanowi.

Kraj ojczysty wydali oni na łup walki domowej, walki najstraszniejszej, bo bratobójczej. Doprowadzili do tego, że komitet młodoturecki musiał z oddaną sobie częścią armii zdobywać z orężem w ręku stolicę państwa, Konstantynopol. Zwycięstwo poszło w ślad za armią młodoturecką, nietylko dzielniejszą, nietylko lepiej uzbrojoną i mającą lepszych dowódców, ale ożywioną szczerym zapałem i wiarą w dobrą sprawę.



Rewolucya w Persyi: Rewolucyoniści spieszący na punkt pogrożony przez wojska rządowe.

Kronika tygodniowa.

(Zwodnicza polityka. — Sytuacya w Konstantynopolu. — Wilhelm na Korfu. — Obchód Grunwaldu a Niemcy w Galicyi. — Wiosna. — Fatalna 13. — Skandal w teatrze i jego wpływ na losy Europy. — Potęga prasy. — 1 maja).

I znów się pokazało, że wszelkie obliczenia i przypuszczenia w zakresie polityki światowej nic nie znaczą. Kto przeczytał uważnie poprzednią kronikę, opłakiwał już pewnie nieszczęsny los sułtana, który osierocił, czy owdowił tyle dostojnych małżonek, a tymczasem minął tydzień, a sułtan siedzi sobie spokojnie nad Bosforem, pali fajkę, pije czarną kawę i jeśli umie czyta gazety europejskie, które go zdetronizowały, wygnały, ba nawet pozbawiły głowy i innych części ciała. Ja byłem przynajmniej o tyle ostrożny, iż zastrzegłem się, że nie bardzo wierzę w powodzenie ruchu młodotureckiego, przy końcu kroniki jednak i mnie na starość ogarnął młodoturecki zapał. Wczytywałem się bardzo pilnie w gazety, aby w sam czas posłać gratulacyjną depeszę nowemu sułtanowi, sposobnej chwili doczekać się nie mogę. Abdul-Hamid jak rezydował w Yldiz-kiosku, tak rezyduje, a Reszad-effendi jest ciągle tylko następcą. O ile można wierzyć pismom politycznym młodotureckie zastępy zajęły już Konstantynopol, nie przeszkodziło to jednak sułtanowi, który z wieku i przekonania należy do Staroturków w udaniu się w piątek do meczetu. W drodze miał być entuzyastycznie witany przez ludność. Jedno więc z dwojga, albo poprzednie wiadomości były fałszywe, albo obecne są niezgodne z prawdą, jak owa giełdowa kaczka o ości cesarza Wilhelma.

Wedle mego przekonania zanadto jaskrawo przedstawiono ruch rewolucyjny Młodoturków, a można to już z tego poznać, że mocarstwa europejskie jakoś na te wiadomości nie reagowały, co byłoby na pewne miało miejsce, gdyby sytuacya miała być tak poważną. A może Turcy przelękli się wojowniczego Wilhelma-Achillesa, który tak blisko, bo na Korfu rozbił swe namioty i pospieszyć może każdej chwili na pomoc swemu koronowanemu koledze? Jak tam zresztą jest, tak jest, to jedno jest pewne, że mamy spokój w Europie i na całym świecie, sądzę bowiem, że zamieszki w Persyi bardzo mało nas dotyczą, skoro każdy nasz aptekarz sam na miejscu fabrykuje „oryginalny proszek perski“, niszczący zupełnie i w zarodku szwaby, prusaki i inne wszelakie sześcionogie plugawstwo. Gdyby tak znalazł się jakiś wynalazca, któryby wynalazł równie skuteczny środek przeciw dwunogiemu robactwu, przysłużyłby nam się nierównie więcej nawet, niż np. Kopernik i przyczyniłby się do uświetnienia rocznicy Grunwaldu, która przypada na rok przyszły. Jak się zdaje, cesarz Wilhelm udziału w niej nie weźmie, z tego też powodu odbędzie się ona nie na polach dawnego Grunwaldu i Tannenberga, gdzie jedność słowiańska starła zakusy germańskie, lecz w murach starego Krakowa. Obejdzie się przy tej sposobności zupełnie bez Niemców, choć, gdyby się kto uparł koniecznie, znajdzie ich dosyć i w Krakowie i to prawdziwych i fałszowanych.

Prawdziwi Niemcy, to przybysze, których losy rzuciły na Wschód między Słowian, gdyż nasza centralna administracya koniecznie pragnie nas cywilizować i nasyła nam pionierów germańskiej kultury. Głową muru nie przebije — powiada nasze przysłowie, to też i oni poddają się wyrokom Opatrzności i pchają, narzekając na los, taczkę żywota. Tych nie ruszam, bo oni nie winni, że się między nami znaleźli i chętnie bardzo powróciliby w ojczyste strony, czując *Drang nach Westen*. Daleko gorszymi są ci fałszowani Niemcy, to jest nie Niemcy, le z chęcią ich udawać. Niech się na mnie nie obrażą wykształceńsze sfery naszego żydowskiego społeczeństwa, ale w tym wypadku muszę im przyznać absolutne pierwszeństwo. U nas w Krakowie nie da się to jeszcze tak spostrzedz, w kawiarniach miast wschodniogalicyjskich doznajesz wrażenia, żeś się bez pomocy Zeppelina znalazł nagle w Berlinie. Niech się spotka ze sobą dwu panów mecenasów lub wogóle inteligentniejszych Żydów, zaraz zaczynają ze sobą rozmowę niemiecką. Może ktoś mi powie, że oni lepiej umieją po niemiecku, niż po polsku, to ja pozwolę sobie sprzeciwić się, gdyż po niemiecku mówią tak, jak to powiadają, jak hiszpańska krowa! W ten sposób tracą sposobność ćwiczenia się w języku polskim i potem narażają się na śmiech, jeśli z konieczności przyjdzie im posłużyć się językiem, którego nie umieją i nie lubią. Na poparcie mych wywodów podam i przykład, jako bowiem człowiek starej daty lubię się nimi posługiwać.

W pewnem galicyjskiem miasteczku, we wschodniej części naszego kraju, funkcye lekarza kolejowego pełnił pan X., wyznania mojżeszowego, wszędzie i stale posługujący się językiem niemieckim. Na zarzuty, jakie mu robiono, miał jedną odpowiedź, że mowę ojczyznę kończył w Wiedniu, nie miał więc sposobności nauczyć się po polsku. Zapomniał jednak, że w owem miasteczku galicyjskiem się urodził, tu chodził do gimnazyum, tu wreszcie osiadł po uzyskaniu doktoratu i od lat dwudziestu spożywa ten nasz chleb powszedni, i to do tego z masłem, gdyż mu się dobrze wiedzie. Jednym z jego obowiązków jako lekarza kolejowego jest pouczanie służby kolejowej w zakresie spraw sanitarnych. W tym celu pan doktor, od czasu do czasu, jak sam się wyraża *trzyma wykłady*. W czasie takiego wykładu, mianego naturalnie w języku polskim, jeden z uważnych słuchaczów zasnął. Gdy pan doktor spostrzegł owo świętokradztwo, zerwał się na równe nogi i wskazując nań asystującemu w czasie wykładu urzędnikowi, woła z furyą: *Ja się tu potrzebuję męczyć, a ten łajdaka dżuma!* Początkowo nie mógł nikt dojść, o co panu doktorowi chodzi, dopiero później domyślano się, że miał na myśli, *a ten łajdak drzemie*. Powód irytacyi pana doktora zrozumiały zupełnie, zrozumiałe też i znużenie słuchacza, gdyż wykład podobny musiał być i do przytoczonego wyżej zdania. Szczęściem dla słuchaczów, wykłady takie odbywały się bardzo rzadko, najczęściej wtedy, gdy cholera groziła.

Jasno, jak na dłoni, widzi więc każdy, że pan doktor nie umiejąc po polsku sam się męczył, musząc używać tego języka, męczył też i innych, którzy go słuchać musieli. Gdyby zaś nie wahał się jak najczęściej mówić po polsku, nie narażałby się na pośmiewisko, i lepiej odpowiedziałby swemu zadaniu jako lekarz, który mało inteligentnemu robotnikowi lub wieśniakowi musi przecież dokładnie wytłómaczyć, co i jak ma czynić w swej słabości.

Ba... żeby się to jednak kończyło tylko na używaniu języka niemieckiego! Owi panowie, którzy tak chętnie nim się posługują, myślą także po niemiecku, całem sercem i całą duszą grawitując na Zachód, jeśli nie nad Sprewę, to przynajmniej nad Dunaj, i uważają wszystko, co tutejsze, co krajowe, jako „minderwertig“. Całą forsą popierają też przemysł i handel zagraniczny; podwójnie nam więc szkodzą: obrażając nasze poczucie narodowe i podkopując krajowy przemysł. O prawdziwych Niemcach, których losy między nas rzuciły, najczęściej tego powiedzieć nie można. Prócz wyżej wspomnianych, mamy jeszcze innych fałszowanych Niemców, chętnie swą niegramatyczną niemieczczyzną się popisujących, jak np. urlopnik, który wyszedł dopiero z wojska. Ci, małpując drugich, szkodzą samym sobie, ale nie społeczeństwu naszemu.

Prawda, że obecnie między Niemcami w Galicyi mamy bardzo wielu szowinistów, a prym między nimi trzymają synowie niemieckich kolonistów, na naszej ziemi zrodzeni i wychowani. Ci panowie oświadczają kategorycznie, że po polsku nie rozumieją, czemu ostatecznie i dziwić się nie trzeba, jest to objaw chorobliwego szowinizmu, będącego dziś na porządku dziennym. Takich panów mamy niestety i w Krakowie i to zaliczających się do grona pedagogów! Tym radziłbym nader szczerze i serdecznie, aby pożegnali niegościnną i nie umiejącą ich uznać Galicyę i podążyli na Zachód, gdzie już są ich serca i marzenia, a tylko grzeszne cielska tkwią jeszcze między nami!

Jak więc każdy z nieuprzedzonych P. T. Czytelników mógł się przekonać, jeśli r. b. chce mi wierzyć na słowo, Niemców różnego kalibru i stopnia nie brakuje nam i w Galicyi, mamy ich tyle, że nawet po zniżonej cenie moglibyśmy parę wagonów odstąpić. Jeśli więc będzie ich potrzeba do uświetnienia obchodu Grunwaldzkiego, mogę wskazać najcelniejsze okazy.

Jak tam będzie, tak będzie, my tymczasem całą piersią używamy wiosny. Na wyraźny rozkaz magistratu drzewa na plantacyach pokrywają się piękną zielonością, park Jordana, Błonia i Park Krakowski aż roją się od publiczności, która obecnie spieszy piechotą, bojąc się wojowniczości motorowych, w ostatnich czasach bardzo często najeżdżających na spokojnych obywateli Krakusowego grodu. Żeby to chociaż wóz nr. 13, tobym rozumiał, bo to pechowa liczba, jak mieliśmy sposobność przekonać się na losach „Sztuki“, która w dniu 30 kwietnia zamyka trzynastą wystawę obrazów. Jak wystawa się udała, raz już wspominałem, dziś dodam jeszcze, że przez przeciąg jednego miesiąca zakupiono z dzieł tam wystawionych aż jedno, wyraźnie *jedno!* Wielbiciele prawdziwej sztuki cieszą się nadzieją, że zato „Zero“ wystawi piękne dzieła, które naprawią opinię krakowskich artystów. Drugim dowodem, że trzynastka jest liczbą feralną, jest nasz tytoń za trzynaście centów, który choć bardzo pięknie opakowany i napisami aż w dziesięciu językach opatrzony, wnętrze ma bardzo brzydkie, smakiem i zapachem przypominające wilgotne siano i to gorszego gatunku.

Skoro przy sposobności owych feralnych trzynastek zawadziłem o sztuki piękne, muszę się na chwilę przenieść w stronę Lwowa, gdzie, jak wykrzykiwali reporterzy jednej niewinnej gazetki, był w teatrze „skandal za dwa centy“. Zeszłotygodniową premierą było Andrejewa „Życie człowieka“, przez całą prasę przyjęte stosunkowo przychylnie. Nie godząc się na niektóre części wystawionej sztuki, przyznały lwowskie pisma bez zastrzeżenia, że dyrekcya dołożyła starań, których wynik był dodatni, nie szczędziły też wyrazów uznania pp. Hellerowi i Pawlikowskiemu. Jedna tylko *Gazeta codzienna* zaniosła się od płaczu nad zepsuciem tego świata, apelowała do rozmaitych potęg ziemskich i niebieskich i przepowiedziała bliski koniec świata i zatratę bezbożnikom. Skutki już się pokazały. Skoro szeik-ul-islam przeczytał artykuł odnośny, podpisał fetwę, uznającą obłąkanie sułtana i zezwalającą na detronizacyę. Europejscy cesarze i królowie mają więc nowego kolegę w osobie Reszada-effendiego, obecnie Mahometa V, który wyniesienie swe na tron kalifów, ma do zawdzięczenia tylko owemu „skandalowi w teatrze za dwa centy“. I niech mi kto powie, czy prasa nie jest potęgą, wprawdzie nie rozporządzającą stalowymi „Dreadnoughtami“, natomiast zaopatrzoną w również stalowe pióra i nożyce, któremi kieruje się losami całego świata.

Co wszystko zważywszy szeroko i długo — kończę niniejszą kronikę i idę przygotować się do piorunującej mowy przeciw zgniłej burżuazyi, którą, choć nie należę do socyalnej demokracyi, wygłoszę w dniu 1 maja wieczorem przy zwykłej bombce okocima. Radzę i Czytelnikom, by poszli w moje ślady, nie tyle co do mowy, ile co do piwa. Pośpiech tu wskazany, gdyż jeśli parlament przychyli się do żądań ekscellencyi Bilińskiego, piwo znów podrożeje. Och, bo ten rząd igra z naszemi najświętszemi uczuciami.

X.

C. k. Dyrekcya kolei państwowych w Krakowie komunikuje: Z dniem 1 maja b. r. zaprowadza się na wszystkich liniach c. k. kolei państwowych nowy rozkład jazdy, z następującemi najważniejszemi zmianami w obrębie c. k. Dyrekcyi w Krakowie:

Celem zapobieżenia przepełnieniu pociągów Nr. 14, 16 i 18 zaprowadza się na szlaku Tarnów-Kraków pociągi Nr. 114, 116 i 118, kursujące bezpośrednio przed tamtymi, a mianowicie pociągi Nr. 116 i 118 codziennie, pociąg Nr. 114 w czwartki, niedziele i święta.

Między Bochnią i Tarnowem zaprowadza się poranny mieszany pociąg Nr. 79.

Przy pociągach pospiesznych Nr. 7 i 8 znosi się na szlaku Wiedeń-Lwów trzecią klasę.

Pociąg osobowy Nr. 19 będzie się zatrzymywał także i w Podłężu, pociągi Nr. 16, 115 i 20 w Rzeszowie, pociągi Nr. 13, 14, 16, 114, 116 i 24 w Grodkowicach.

Wszystkie pociągi tak zwane sezonowe będą kursowały od 15 czerwca włącznie do 30 września. Pociąg pospieszny między Krakowem i Zakopanem będzie kursował w tym samym okresie w obydwu kierunkach. W tymże okresie zaprowadza się nową parę pociągów Nr. 1132 i 1233 między Suchą, a Żywcem.

Pociąg Nr. 1232 będzie miał w Suchej połączenie od pociągu Nr. 1222 z Nowego Sącza i z Zakopanego, a w Żywcu do pociągu c. k. kolei północnej Nr. 1430 B. do Bielska, Dziedzic i Wiednia.

Pociąg Nr. 1233 natomiast, mający w Żywcu połączenie do pociągu c. k. kolei północnej Nr. 1313 z Wiednia, Dziedzic i Bielska, będzie się łączył w Suchej z pociągiem pospiesznym Nr. 1201 do Zakopanego.

Pociągi Nr. 615 i 622 kursujące obecnie poza sezonem letnim tylko między Tarnowem i Nowym Sączem, będą kursowały od 1-go maja b. r. począwszy, między Tarnowem i Starym Sączem

Pociąg sezonowy 49 (1010), (1120), (1219), 6110 do Zakopanego odchodzący w przeszłym sezonie do Krakowa o 3 15 popołudniu, będzie w obecnym sezonie letnim odjeżdżał z Krakowa o godzinie 3·45 po południu i uzyska przez to w Chabówce połączenie do pociągu Nr. 1222 z Nowego Sącza.

Pociąg Nr. 618 z Tarnowa do Orłowa uzyskał w Tarnowie nowe połączenie do pociągu Nr. 20 ze Lwowa.

Co do pomniejszych i szczegółowych zmian można się poinformować ze ściennych rozkładów jazdy, wywieszonych we wszystkich stacyach i z kieszonkowego rozkładu jazdy, który można nabyć we wszystkich kasach osobowych.

Rocznica urodzin króla Rumunii.

W dniu 20 kwietnia b. r. święcił król rumuński Karol I siedmdziesiątą rocznicę urodzin swoich. Cały



Rocznica urodzin króla Rumunii: Elżbieta (Carmen Sylva), królowa rumuńska.

naród złożył w tym dniu sędziwemu monarsze wyrazy hołdu i czci oraz wdzięczności, wznosząc modły do Boga, by zachował mu życie i zdrowie na długie jeszcze lata.

Król Karol bowiem należy do tych niewielu władców, który całe swe życie i wszystkie siły oddali na usługi kraju i narodu, swoją troskliwością o dobro państwa, swą wielką pracowitością i gorliwością w wypełnianiu obowiązków zdobył też sobie nietylko wdzięczność poddanych, ale powagę i uznanie w całym świecie.

Karol I wstąpił na tron rumuński w 1866 r., w czasie gdy stosunki wewnętrzne Rumunii przedstawiały smutny obraz rozbicia i rozkładu. Namiętne walki polityczne rozmaitych stronnictw, zwalczających się nawzajem, nie pozwalały rozwinąć się ani przemysłowi, ani handlowi, nie pozwalały na uregulowanie całego szeregu najważniejszych spraw ekonomicznych i społecznych.

Król Karol potrafił jednak zaradzić złemu a to dzięki temu, iż stanął ponad wszystkimi partyami i z niezwykłą bezstronnością kierował polityką państwa oraz dzięki temu, że obdarzony był wybitnym talentem organizatorskim.

Zadanie to było tem trudniejsze do spełnienia, że Rumunia podówczas nie była państwem samodzielnem, lecz zawisłem od Turcyi. Dopiero wojna rosyjsko-rumuńsko-turecka w 1877 roku przyniosła Rumunii niezawisłość a w ślad za tem tytuł królestwa. Karol I jest właśnie pierwszym królem odrodzonego państwa.

Odtąd datuje się też szybki i piękny rozwój Rumunii, która dziś należy do państw zamożnych i wysoko pod względem kultury stojących. Zasługa to przedewszystkiem króla Karola I i jego małżonki królowej Elżbiety, znanej pod pseudonimem literackim „Carmen Sylva“.



Rocznica urodzin króla Rumunii: Karol I, król rumuński.



Z ostatnich walk nad Bosforem: Hodża wzywa ludność do „wojny świętej“.

Detronizacya Abdul-Hamida.

W dniu 26-go kwietnia stało się wreszcie to, czego spodziewano się lada chwila ostatnimi dniami. Abdul Hamid został zdetronizowany przez Zgromadzenie narodowe, w które przemienił się parlament turecki. Odnośna uchwała zapadła w Zgromadzeniu olbrzymią większością głosów, a pierwszą wiadomość o niej zawiózł Abdul Hamidowi Mahmed Szefket-basza, obecny *generalissimus* wojsk w stolicy zgromadzonych z ramienia komitetu młodotureckiego.

Nazajutrz, tj. 27 kwietnia, Zgromadzenie wysłało w tym samym celu do Ildiz-kiosku deputacyę złożoną z dwóch deputowanych i dwóch senatorów. Przywódca deputacyi, Essad-basza, odezwał się do Abdul-Hamida w te słowa:

— Naród detronizował cię na podstawie „fetwy“! („Fetwa“ jest to orzeczenie szeik-ul-islama, najwyższego duchownego muzułmańskiego).

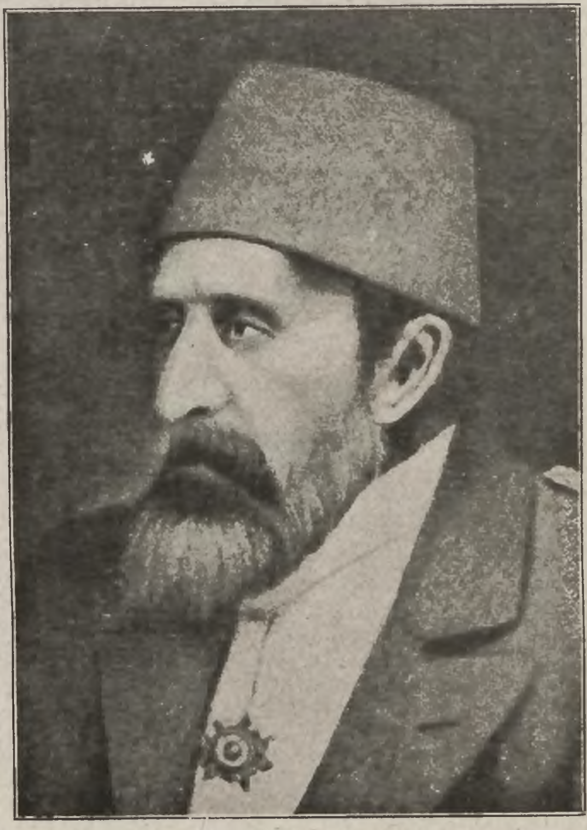
Sułtan, przygnębiony w najwyższym stopniu usłyszaną wieścią, zdobył się tylko na odpowiedź:

— Stało się nieszczęście!

Następnie wyraził wielkie zaniepokojenie o swe życie, na co jednak otrzymał zapewnienie ze strony członków deputacyi, że pozostaje ono pod ochroną narodu. Dalej przedstawił on życzenia co do swego przyszłego miejsca zamieszkania i wyznaczenia mu odpowiedniej listy cywilnej, naco jednak odpowiedziano mu, że deputacya w tym kierunku nie otrzymała wcale instrukcyj.

Że Abdul Hamid ma uzasadnione powody obawiać się o swe życie, wnioskować stąd można, iż w „fetwie“, o której mowa, miał zapaść wyrok na niego, opiewający na karę śmierci przez ścięcie.

Skoro formalność zawiadomienia Abdul Hamida została załatwiona, rozległo się o godz. $2^1/_2$ popołudniu 101 wystrzałów, zwiastujących wstąpienie na tron nowego sułtana, którym został brat młodszy Abdul Hamida, książę Mohmed Reszad, przybrawszy imię Mahomeda V. Nowy sułtan liczy obecnie lat 64 i jest synem sułtana Abdul Medżyda, zmarłego w 1861 roku. Abdul Hamid więził go od czasu swe-



Detronizacya Abdul-Hamida: Abdul-Hamid II zdetronizowany sułtan turecki.

go wstąpienia na tron, tak że Mohamed V. nietylko nie brał żadnego udziału w życiu politycznem swej ojczyzny, ale nawet nie mógł utrzymywać z kimkolwiek zwykłych stosunków towarzyskich. Dlatego



Z ostatnich walk nad Bosforem: Softowie rozdają pisma podburzające żołnierzom, którzy zostali wierni Młodoturkom.

też jest on osobistością zupełnie nieznaną i prawdopodobnie będzie posłusznem narzędziem centralnego komitetu młodotureckiego, któremu tron zawdzięcza a który faktycznie dzierży w swem ręku władzę jeżeli nie nad całem państwem Osmanów, to przynajmniej nad jego stolicą.

Ludność tej stolicy zgotowała nowemu sułtanowi gorące przyjęcie, gdy tegoż dnia o godz. 4 udał się morzem do Stambułu, gdzie oczekiwała go w w gmachu ministerstwa wojny generalicya z Mohamedem Szefketem-baszą na czele. Pierwszy zaś hołd odebrał w pałacu Dolmabagdże.

Do niniejszego artykułu dołączamy portrety: Muktara-baszy, dowódcy I-go korpusu armii, jednego z najwybitniejszych działaczy młodotureckich, który swem energicznem postępowaniem przyczynił się wielce do stłumienia kontrrewolucyi, oraz Enver-beja, który dał w roku ubiegłym hasło do ruchu rewolucyjnego na korzyść nadania konstytucyi, a będącego obecnie prawdziwym bohaterem dnia nad Bosforem. Nie ulega bowiem kwestyi, że jego natychmiastowy przyjazd do Saloniki z Berlina, gdzie był *attaché* wojskowym, na wieść o wybuchu kontrrewolucyi nad Bosforem, wzbudził otuchę w członkach centralnego komitetu młodotureckiego i skłonił ich do stanowczego wystąpienia. Kolosalna zaś jego popularność wśród wojsk, kwaterujących w Macedonii, przyczyniła się do utrzymania ich w wierności dla tegoż komitetu, co pozwoliło w rezultacie na zdetronizowanie ukoronowanego mordercy i krzywoprzysięscy, jakim był Abdul Hamid.

Można się spodziewać, że to radykalne rozwiązanie wewnętrznych zatargów w Turcyi doprowadzi do uspokojenia nietylko opinii publicznej w Europie, która od tak długiego szeregu lat ma wieczne kłopoty z państwami bałkańskiemi, a zwłaszcza z „chorym człowiekiem“, ale i do uspokojenia państwa ottomańskiego.

W interesie rozwoju kultury i cywilizacyi, życzyć sobie tego należy, nowy sułtan bowiem i stronnictwo, na którem on się oparł, dąży szczerze do odrodzenia ojczyzny.

Z dążeniami temi i ze stronnictwem Młodoturków, solidaryzują się wszystkie lepsze, patryotyczne żywioły narodu tureckiego. Z ich pomocą uda się niewątpliwie Mohamedowi V. wydźwignąć Turcyę z upadku, w jakim była pogrążona.



Detronizacya Abdul Hamida: Reszad Effendi, obecnie Mohamed V., nowy sułtan turecki.



Detronizacya Abdul Hamida: Enver-bej.

Niezwykły wypadek kolejowy.

Dworzec kolejowy w Przemyślu był przed paru dniami widownią niezwykłego i rzadkiego chyba w dziejach kolejnictwa wypadku.

Oto w nocy na wtorek 27 kwietnia, gdy odszedł pociąg pospieszny do Krakowa, wypuszczono ze stacyi przemyskiej w tym samym kierunku pociąg robotniczy, jako drugą część pociągu osobowego, który przed pospiesznym podążył ku Krakowowi.

Pociąg ten posuwał się ze znacznym rozpędem. Skutkiem jednak złego ustawienia zwrotnicy pociąg ten wpadł na tor ślepy, rozbił wznoszący się tam wał ziemny, rozbił w dalszym ciągu mur obok wału i uderzył w ścianę t. zw. koszar konduktorów.

Jeden z pufrów lokomotywy wybił w ścianie koszar duży otwór i drogą tą wdarł się aż do środka pokoju, przyczem odrzucił łóżko, na którem spał jeden z konduktorów, na odległość jednego metra. Silne uderzenie pufra spowodowało też zarysowanie się całego muru koszar, aż do wysokości dachu.



Niezwykły wypadek kolejowy: Rozbity mur koszar i pufer maszyny.



Niezwykły wypadek kolejowy: Lokomotywa pociągu robotniczego która rozbiła wał i ścianę koszar konduktorów.

Ciężkie uszkodzenia odniosła również maszyna. Nie obeszło się oczywiście i bez ofiar w ludziach. Ośm osób odniosło cięższe lub lżejsze rany. W tem jest sześć osób z pośród personalu kolejowego, dwie zaś z pomiędzy podróżnych.



Detronizacya Abdul Hamida: Muktar basza.

Nadesłane.

Głosy publiczne.

Teatr Rozmaitości w Parku Krakowskim rozpoczyna z dniem 1 maja sezon przedstawień: Wiadomość ta ucieszy niewątpliwie publiczność krakowską, gdyż przedstawienia te należą do najmilszych rozrywek w lecie. Świeże powietrze, wygodny dostęp i komunikacya tramwajowa, doskonała restauracya, obszerna sala z odnowioną i powiększoną sceną, a wreszcie program przedstawień. zawsze interesujący i złożony z nowości — wszystko to składa się na całość bardzo sympatyczną.

Doskonała orkiestra przyczynia się również nie mało do uprzyjemnienia pobytu w parku Krakowskim. To też spodziewać się należy. że jak w latach poprzednich i w tym roku Publiczność tutejsza spieszyć będzie chętnie do teatru Rozmaitości.

Włamywacz świętokradca. Otrzymujemy następujące pismo:

(Odpis).

Do Prześwietnej c. k. Prokuratoryi Państwa w Krakowie! W aresztowanym przez policyę krakowską za okradzenie kościoła w Częstochowie włamywaczu, rzekomym Janie Katarzyńskim, rozpoznałem *na podstawie podobizny. umieszczonej w Nowościach illustrowanych* (Nr. 17 z bież. roku) tego samego, który dnia 23 czerwca zeszłego roku okradł w biały dzień tutejszy kościół parafialny rozbiwszy 3 skarbony i szafkę z wotami. Schwytany przez kościelnego i następnie doprowadzony na posterunek żandarmeryi, podał się rzezimieszek jako „Antoni Strucha“ rodem z Zebrzydowic. Okuty w kajdanki miał być nazajutrz odstawiony do Sądu w Nowym Targu — tymczasem o świcie zbiegł z posterunku. Mam zaszczyt zawiadomić o tem Prześwietną Prokuratoryę z tem, że nad zbrodniarzem, jak widać specyalistą w zawodzie, powinienby być roztoczony najściślejszy nadzór. jeżeli nie ma się znowu wymknąć z rąk sprawiedliwości.

Z Urzędu parafialnego. Zakopane dnia 26 kwietnia 1909. Ks. K. Kaszelewski, proboszcz, m. p. (L. S.)

* * *

Wielce Szanownej Redakcyi Nowości Illustrow. mam zaszczyt zakomunikować w odpisie doniesienie zrobione do Prokuratoryi Państwa w Krakowie.

Z poważaniem

Zakopane 26/4 1909. *Ks. Kaz. Kaszelewski*

proboszcz.

Z półek księgarskich.

Ruchliwa i około rozwoju naszej ojczystej literatury dobrze zasłużona firma wydawnicza *Wilhelma Zuckerkandla* w Złoczowie puściła w obieg dalszą serye tomików *Biblioteki powszechnej*, począwszy od Nr. 724 do 745. Tomiki te zawierają dalszy ciąg literatury polskiej i obcej w doskonałem tłomaczeniu. Mamy więc Herczega: *Kwiat na bagnisku*. Siemieńskiego: *Wieczory pod lipą*. Fredry: *Cudzoziemszczyznę*. Korzeniowskiego: *Majster i czeladnik*. Libelta: *O miłości ojczyzny*. Fredry: *Nocleg w Apeninach*. Ibsena: *Jan Gabryel Borkman*, Ksawerego: *Sport saneczkowy*. Syrokomli: *Hrabia na Watorach*. Chodźki: *Podania litewskie*.

Wydanie bardzo staranne i nader niska cena (24 hal. za tomik) dozwalają najszerszym sferom naszego społeczeństwa zaopatrzenie swej domowej biblioteczki w dzieła pożyteczne, mogące stanowić przyjemną rozrywkę i przyczynić się do uzupełnienia wykształcenia.

Kącik humorystyczny.

Pan K. chciałby koniecznie swego siostrzeńca ożenić. W tym celu udaje się do pośrednika małżeństw, który mu przedkłada całą kolekcyę fotografij kandydatek hymenu. Ku swojemu ogromnemu zdziwieniu, ba, nawet przerażeniu, zobaczył pan K. między fotografiami także fotografię swej żony.... Wzburzony do głębi, pędzi do domu.

— Co to ma znaczyć? — woła już na progu. — Twoja fotografia... u pośrednika małżeństw...

— Eh.... to nic... — usprawiedliwia się żona. — Ja dałam tę fotografię zeszłego roku.... kiedy to byłeś tak niebezpiecznie chory na tyfus.

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. H. Krupecki Warszawa: Umieścimy w przeróbce.

WP. T: Sołtykowski Dębica: Prosimy zwrócić się wprost do naszej Administracyi, która nadeśle żądane numery.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 16.

Łamigłówka: Jaka praca, taka płaca.

Zadanie do przestawienia: Linz, Zagrzeb, Kraków, Lublana, Czerniowce.

Szarada: Zaraz.

Zagadka: Kark, Krak.

Łamigłówka: Wart Pac pałaca, a pałac Paca.

Łamigłówka: Michał Bałucki.

Logogryf: Henryk Sienkiewicz.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp. O. Górkowa Chyrów, A Biliński Tarnopol, S. Lercher Kołomyja, J. Pogwizdowski Kraków, B. Schwalenberg Czerniowce, J. Kuryłowicz Lwów, S. Luliński Kraków, A. Gruszewski Łódź, B. Hawliczek Kraków, Z. Gliżski Płock, R. Ligaszewski Rzeszów, J. Januszewski Podgórze, M. Łaszkiewiczowa Trzciana, Czytelnia T. S L. Millie, J. Woniowa Kamiznka Strumiłowa, Antoni i Władysława Limanowskie Zwierzyniec, W. Rapacz Żarki, M. Kościński Żarki, E. Bogdalska Koropuż, Z. Sochacki Tarnopol, H. Krupecki Warszawa, T. Sołtykowski Dębica, W. Trojacki Wietrzychowice, Z. de Boulange Gawłówek, Sokół Jaworzno, B. Ramułtowa Jeżów, J. Trochimczykówna Lwów, A. Brandys Łukowica, R. Kosiński Łukowica, R. Turczynowicz Podhajce, K. Fuchs Czeremchów, B. Mieczkowski Kraków, M. Serbańska, Budzanów, Z. Ciechanowska Stary Sambor, K. Schwarcówna Łaskowce, J. Gromicki Łaskowce, L. Bernard Rodatycze, M. Federgrün Kraków, S. Danziger Osiny, J Augustynowicz Żywiec, A. Polończykowa Żywiec, M. Koziołkowska Tarnów, J. Żugaj Wilamowice, L. Witekowa Mościska, J. Sakowski Mikulińce, S. Cześnikiewicz Kraków, H. Chodkiewicz Warszawa, M. Świszczowska Swoszowice.

Nagrodę przez losowanie otrzymał R. Ligaszewski Rzeszów. Prosimy o nadesłanie 35 hal na koszta poleconej przesyłki.

Nadzwyczajne przygody reportera Józefa Rouletabille.

Zapach Damy w czerni

napisał **Gaston Leroux.**

10 (Cąg dalszy).

Ojciec Jakób, dodał żartobliwie, otrzymał wyraźne rozkazy, a każdy wie, iż stary sługa nie da się niczem skusić. W ten sposób dowiedziałem się, iż profesor Stangerson wziął z sobą w podróż swego dawnego służącego. Poprzedniej nocy spał on w Wilczycy, obok pokoju swego pana, lecz Rouletabille zaprowadził zmianę we wszystkiem i obecnie ojciec Jakób został portyerem w wieży *A*.

— A gdzież są Bernierowie? — zapytała zaintrygowana pani Edyta.

— Już są ulokowani w Wieży Czworobocznej, z lewej strony przy wejściu; będą tam portyerami!... — odpowiedział Rouletabille.

— Ależ Wieża Czworoboczna nie potrzebuje wcale portyera! — zawołała pani Edyta coraz bardziej zdziwiona.

— Tego jeszcze nie wiemy, czy nie potrzebuje — odparł reporter, nie dając żadnych wyjaśnień.

Wziął jednak na bok Artura i zwrócił mu uwagę, iż winien powiadomić swą żonę o zjawieniu się Larsana, zwłaszcza, iż bez jej pomocy nie będzie można całej prawdy ukryć przed profesorem. A przytem lepiej, aby każdy był na wszystko przygotowany, czyli innemi słowy, niczemu się nie dziwił.

Przeszliśmy tymczasem przez dziedziniec i doszliśmy do tak zwanej Wieży Ogrodniczej *H*, stanowiącej przejście na drugi dziedziniec. Dawniej znajdowała się w tem miejscu fosa z przerzuconym przez nią mostem wiszącym. Ku naszemu wielkiemu zdziwieniu Rouletabille niespodzianie oznajmił, iż tę fosę należy oczyścić i przywrócić do dawnego stanu, jak również i most. Narazie wziął się przy pomocy służby zamkowej do zamknięcia tego przejścia deskami i staremi pakami. W ten sposób został zamek zabarykadowany, a Rouletabille jego komendantem. Pani Edyta powiadomiona już przez męża, nic nie mówiła, wzruszała tylko ramionami na myśl, iż przedsiębierze się takie środki obronne przed zbliżeniem jednego, jedynego człowieka. Nie wiedziała ona jednak dokładnie, kto właściwie i jakim jest ten człowiek.

Przejście to Rouletabille zarezerwował dla siebie; z miejsca tego mógł dozorować oba dziedzińce. Był to punkt strategiczny, strzegący cały fort. By dostać się do Darzaców, trzeba było minąć naprzód ojca Jakóba w *A*, Rouletabille'a w *H* i małżonków Bernier, strzegących drzwi *K* w Wieży Czworobocznej. Młody dowódzca postanowił, iż nocy tej wspomnieni dozorcy winni czuwać. Gdyśmy przechodzili koło studni, spostrzegłem iż leżąca na niej pokrywa została odsunięta, a na ocembrowaniu stoi małe wiadro, przywiązane do sznura. Rouletabille wytłomaczył mi, iż chciał się przekonać czy ta studnia nie ma jakiej komunikacyi z morzem i zaczerpnął wody, która jednak była słodką, zdatną zupełnie do użycia. Pani Darzac pożegnała się z nami zaraz i weszła do Wieży Czworobocznej, pan Darzac zaś na prośbę Rouletabille'a został z nami, jak również i Artur Rance. Kilka słów zwróconych do Edyty dało jej poznać, iż dobrze zrobi, gdy pójdzie spać, co też ona i uczyniła, żegnając Rouletabille'a ironicznie: „Dobranoc, panie kapitanie!"

Gdyśmy pozostali sami, Rouletabille poprowadził nas do małego pokoiku ogrodnika w *H*; był to ciemny, niski pokój, z którego doskonale wszystko można było widzieć, pozostając samemu niewidocznym. Tam Artur Rance, Robert Darzac, Rouletabille i ja odbyliśmy pierwszą naradę wojenną.

— Możemy tutaj rozważyć wszystko spokojnie— zaczął Rouletabille. — Nikt nas tutaj nie podsłucha i nikt nie złapie nas znanacka. Jeżeliby nawet zdołał kto przedostać się przez drzwi strzeżone przez ojca Jakóba, zostaniemy natychmiast uwiadomieni o tem przez straż postawioną w środku dziedzińca w murach kaplicy. Umieściłem tam pańskiego ogrodnika, Mattoniego. Zdaje mi się według tego, co pan mi mówił o nim, iż można polegać na tym człowieku? Czy takie jest pańskie zdanie?

Słuchałem Rouletabille'a z podziwem. Pani Edyta miała racyę. Istotnie stał on się komendantem, przedsiębiorąc wszelkie środki obrony, a były one niezbędne, gdy miało się do czynienia z takim wrogiem jak Larsan.

Gdy Artur Rance rzekł, iż odpowiada za swego ogrodnika, Rouletabille przedstawił nam ogólną sytuacyę. Zapalił swą fajkę i zaczął mówić:

— Możemy spodziewać się, iż Larsan jeżeli z taką czelnością zjawił się otwarcie przed naszemi murami, nie zadowoli się tą platoniczną manifestacyą, ani też nie zniknie nam z przed oczu. Sądzę tak, ponieważ nie leży to w jego wojowniczym charakterze, ponieważ nie zadawala się nigdy połowicznemi sukcesami i wreszcie ponieważ nic go nie zmusza do unikania nas. Zwrócić trzeba uwagę na to, iż on może wszystko przeciw nam, my zaś możemy się tylko bronić przed nim i schwytać go, jeżeli to się nam uda. Znikąd żadnej pomocy nie możemy oczekiwać. On o tem wie i dlatego jest tak pewny siebie i tak spokojny! Kogóż możemy wezwać na pomoc?

— Prokuratora! — odezwał się Artur Rance z pewnem wahaniem, sądził bowiem, iż jeżeli Rouletabille nie schwycił się jeszcze tego środka, to widocznie miał ku temu ważne powody.

Rouletabille spojrzał na pana domu niedbale i rzekł zimno, tonem swym wykazując Rance'owi niestosowność propozycyi

— Jeżeli ocaliłem Larsana przed policyą francuską, to nie dlatego, by oddawać go w ręce włoskiej.

Artur Rance, który nie wiedział nic, jak już wspomniałem, o pierwszem małżeństwie córki profesora Stangersona, nie mógł pojąć dokładnie, dlaczego nie możemy na żaden sposób, zwłaszcza po ślubie Matyldy z Darzacem, oznajmić publicznie o zjawieniu się Larsana; podczas jednak poprzedniego procesu uwagę jego zwróciło kilka niewytłómaczonych faktów, odgadł też teraz, że za żadną cenę nie chcemy zająć publiczności sprawą, zwaną powszechnie: *Tajemnicą panny Stangerson*. Skłonił się w milczeniu przed Robertem, dając tem poznać, iż gotów jest walczyć za sprawą Matyldy jak rycerz szlachetny, który nie dba o powody zbrojnego spotkania, gdy umiera za damę swego serca. Tak przynajmniej też wytłomaczyłem sobie jego gest, będąc przekonanym, iż mimo swego małżeństwa nie zapomniał o dawnem uczuciu.

— Człowiek ten musi zniknąć, lecz bez szumu— odezwał się Darzac. — Należy go albo ubezwładnić, albo ugodzić się z nim, albo go zabić!... Pierwszym jednak warunkiem jego zniknięcia jest zachowanie w tajemnicy jego zjawienia się. Staję się tutaj także tłomaczem mej żony, prosząc panów w jej imieniu o użyczenie wszystkiego, byle tylko pan Stangerson nie dowiedział się o grożącem niebezpieczeństwie.

— Życzenia pani Darzac są dla nas rozkazem— odrzekł Rouletabille. — Profesor Stangerson o niczem nie będzie wiedział.

Następnie zajęliśmy się stanowiskiem względem służby. Na szczęście ojciec Jakób i Bernierowie byli już na poły wtajemniczeni, Mattoni zaś był tak ślepo oddany pani Edycie, iż wypełniał rozkazy bez ich zgłębiania. Na innych nie liczono. Był jeszcze Walter, służący starego Boba, ten jednak towarzyszył swemu panu i miał wrócić razem z nim.

Rouletabille podniósł się, zamienił jakieś znaki z Bernierem, który stał na progu Czworobocznej Wieży i wrócił do nas.

— Larsan musi być gdzieś w pobliżu — rzekł. W czasie obiadu rozejrzałem się dokoła. Posiadamy jeszcze jedną znakomitą obronę, która zastępuje doskonale stary barbakan. O pięćdziesiąt kroków na zachód mamy dwa posterunki nadgraniczne straży celnej francuskiej i włoskiej, których czujność może nam oddać wielkie usługi. Ojciec Bernier jest w doskonałych z nimi stosunkach, poszedłem też razem z nim do nich. Strażnik włoski mówi tylko po włosku, francuski za to włada obydwoma językami a także miejscowem narzeczem i on, nazywa się Michał, służył nam za tłomacza. Przy jego pomocy dowiedziałem się, że i włoski strażnik zainteresował się bardzo tajemniczemi manewrami barki, którą kierował Fullio, zwany *Katem morza*. Starego Fullio strażnicy znają oddawna jako najsprytniejszego kontrabandzistę. Zawiózł on swego nieznanego gościa w stronę najbliższego cyplu wrzynającego się w morze. Jest to cypel Garibaldiego. Skierowałem się tam razem z Bernierem, nic jednak nie zauważyłem. Mimo to Larsan musiał wylądować... mam jakby przeczucie. W każdym razie jestem pewny, że barka Fullia przybiła do lądu koło tego cypla...

— Czy jest pan tego pewny? — zapytał Darzac.

— Czy masz na to jakie dane? — odezwałem się.

— Tak — rzekł Rouletabille — zostawiła ona ślad na nadbrzeżnym żwirze, a ponadto znalazłem tam kaganiec, którym Fullio, jak mnie objaśnili strażacy, świeci sobie przy połowie krabów.

— Larsan z pewnością tu wylądował!... — zawołał Darzac. — Znajduje się na Czerwonych Skałach....

— Jeżeli wysiadł na Czerwonych Skałach, to jeszcze nie wrócił — mówił Rouletabille. — Oba posterunki strażników znajdują się na wąskiej drodze, która prowadzi z Czerwonych skał do Francyi, nikt też tam nie może przejść niepostrzeżony. Przytem skały te stanowią rodzaj zakrytego kąta i droga kończy się przed niemi w odległości mniej więcej trzystu metrów od granicy. Brzeg zaś morski jest tam nader urwisty i ma przeszło sześćdziesiąt metrów wysokości.

— Istotnie! — zauważył Artur Rance, który do tej pory siedział w milczeniu — on nie mógł się wdrapać po tem urwisku.

— Schował się zapewne w grotach — zwrócił uwagę Darzac — są tam głębokie jamy.

— I ja tak myślę — potwierdził Rouletabille. Odprawiłem też ojca Bernier i wróciłem się sam na Czerwone Skały.

— Było to nieroztropne — zauważyłem.

— Właśnie roztropne — zaprzeczył Rouletabille. — Chciałem rozmówić się z Larsanem lecz bez świadków... Wróciłem na Czerwone Skały i stając przed grotami, zawołałem na niego.

— Pan go wołał? — zdziwił się Artur.

— Tak, wołałem na niego, powiewając chustką, jak to czynią parlamentarze białą chorągwią. Lecz czy mnie nie słyszał, czy nie widział mej chustki, dość że nie odpowiedział.

— Może już go tam nie było — wtrąciłem.

— Nie nie wiem, słyszałem jednak szum w jednej grocie!...

— I pan tam nie poszedł? — zapytał żywo Artur Rance.

— Nie! — odpowiedział poprostu Rouletabille — lecz chyba pan nie sądzi, że lękałem się tego uczynić?

— Biegnijmy tam! — zawołaliśmy wszyscy razem, podnosząc się — niech się to już raz skończy!

— Zdaje mi się — dodał Artur — że nigdy nie będziemy mieli lepszej okazyi do schwytania Larsana. Tam już, w głębi skał, uczynimy z nim, co zechcemy.

Darzac i Artur byli już gotowi do wyjśca; czekałem co uczyni Rouletabille. Ruchem ręki powstrzymał ich i prosił aby usiedli.

— Sądzę, że jeżeli Larsan tak dzisiaj postępował, to dlatego by nas wszystkich wieczorem przyciągnąć do grot na Czerwonych Skałach. Ukazał się nam, wylądował przed naszemi prawie oczami na cyplu Garibaldiego, tak jakby chciał nas tam wprost zwabić!... (C. d. n.)